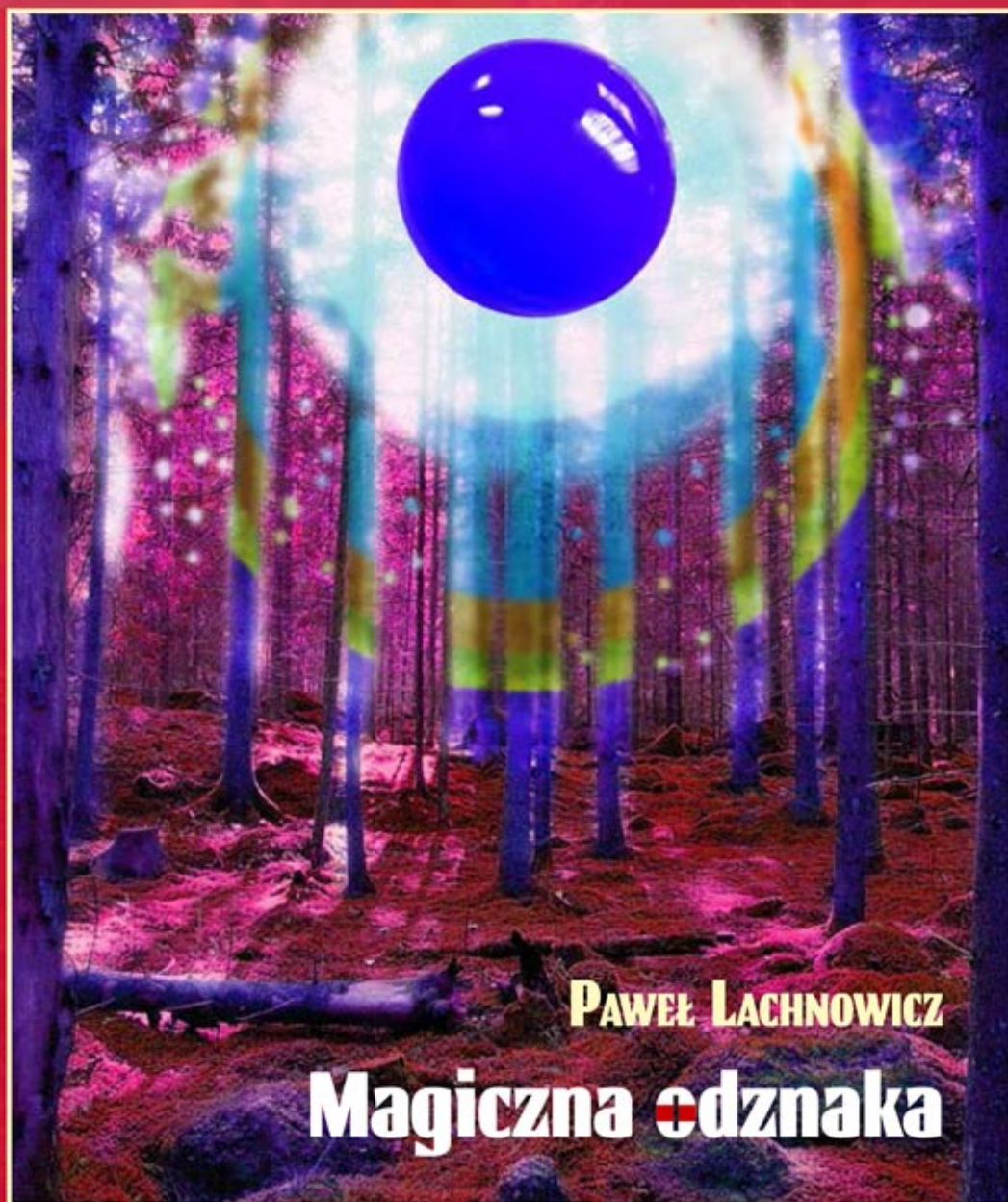


# Xoziołek



NR 1 (001) • ROK I • lato 2020

DODATEK LITERACKI DLA DZIECI, MŁODZIEŻY, DOROSŁYCH I SENIORÓW CZASOPISMA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO «LUBLIN. KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO»



**PAWEŁ LACHNOWICZ**

**Magiczna edznaka**

## Drodzy Czytelnicy,

kto był w Lublinie widział koziołka, kto z Lublina – zna koziołka!

Ten sympatyczny zwierzak widnieje w herbie Lublina, jego rzeźby zdobią nasze miasto. Jedną z nich autorstwa Leszka Rymczuka można obejrzeć na deptaku przy zbiegu ulic Krakowskiego Przedmieścia i Wróblewskiego, drugą przy zbiegu Okopowej i Narutowicza. Pierwsza nawiązuje do herbu miasta, druga przedstawia koziołka w dzinsach. Tę figurkę zaprojektował Tomek Kawiak, jeden z najbardziej rzutkich artystów, szeroko znany z fascynacji dzinsami.

Nie ma chyba piosenki o lubelskim koziołku, ale w jednej z galerii jest piękne miejsce zabaw dla dzieci zwane „Koziołek”.

W latach siedemdziesiątych XX wieku młodzież literacka zorganizowała konkurs poetycki o „Laur Lubelskiego Koziołka”, jeszcze niedawno zdarzyło mi się spotkać laureatów konkursu z dumą obnoszących poetyckie, koziołkowe trofeum. Przed II wojną światową – w jednym z lubelskich dzienników – ukazywał się dodatek literacki dla najmłodszych o nazwie „Koziołek”. Można więc rzec, że koziołek ma swą literacką tradycję.

Podtrzymując koziołkową historię otwieramy dodatek literacki dla młodych czytelników o tytule „Koziołek”.

W pierwszym numerze prezentujemy opowiadanie z gatunku science fiction, to oryginalny utwór autorstwa białoruskiego pisarza Pawła Lachnowicza. Jestem przekonany, że wzbudzi zainteresowanie polskiego czytelnika.

*Przyjemnej lektury – redaktor*



WYDZIAŁ LITERACKI DLA DZIECI, MŁODZIEŻY I DOROSŁYCH • STOWARZYSZENIE PISARZY POLSKICH • LUBLIN

**NR 1 (001) • ROK I • lato 2020**

### **Koziołek**

Dodatek literacki dla dzieci, młodzieży, dorosłych i seniorów czasopisma „Lublin. Kultura i społeczeństwo”

### **Wydawca**

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich – Lublin

### **Redakcja**

Zbigniew Włodzimierz Fronczek – redaktor naczelny  
Wojciech Pestka  
Stanisław Żurek  
Barbara Caban – korekta  
Michał P. Wójcik – opracowanie graficzne,  
projekt okładki, winiety

### **Adres redakcji**

20-882 Lublin, ul. Organowa 1/63  
tel. 607 222 193, e-mail: froncze@wp.pl

### **Skład, druk, oprawa**

Wydawnictwo POLIHYMNIA Sp. z o.o.  
20-832 Lublin, ul. Deszczowa 19  
tel/fax +48 81 746 97 17

Numer sfinansowany  
przez Fundację Willa Polonia – Lublin

## SPIS TREŚCI

Drodzy Czytelnicy – redaktor .....	2
Od tłumacza – Wojciech Pestka .....	3
Magiczna odznaka – Paweł Lachnowicz .....	5
Białoruś: literatura dla dzieci i młodzieży – Paweł Lachnowicz .....	33
Legenda o lubelskim herbie – Zbigniew Włodzimierz Fronczek .....	35

## Od tłumacza

PAWEŁ LACHNOWICZA POZNAŁEM 24 października 2017 roku w Ostrogu na Ukrainie – jury III. Międzynarodowej Nagrody im. Józefa Łobodowskiego dla pisarzy i tłumaczy z krajów Europy Środkowo-Wschodniej przyznało mu nagrodę za przekład na język białoruski gawęd historyczno-literackich Zbigniewa Włodzimierza Fronczka *Anioły, diabły i kobiety*.

Z konieczności nasze kontakty ograniczyły się do spotkania podczas uroczystości wręczenia nagrody w Sali Senatu Narodowego Uniwersytetu „Akademia Ostrogska” i wspólnego obiadu. Wymieniliśmy kilka grzecznościowych słów, w pamięci utkwiła mi powściągliwość, oszczędny i przemyślany sposób formułowania wypowiedzi.

O Pawle usłyszałem kilka lat wcześniej w Rakowie od Jazepa Januszkiewicza – to były czasy, kiedy zamierzałem się zająć tłumaczeniem współczesnej literatury naszych wschodnich sąsiadów: wydawało mi się, że zbyt mało wiemy o twórczości pisarzy białoruskich, rosyjskich, ukraińskich i zdarzało mi się często bywać w Mińsku, Kijowie, Lwowie...

Z tamtego okresu pochodzą moje tłumaczenia z białoruskiego powieści Anatolija Rezanowicza *Pustelnik*, opowiadań Alesia Nawarycza, Uładzimira Niaklajewa, tekstów eseistycznych Jazepa Januszkiewicza. Dwa albo trzy lata po polskim sukcesie zbioru reportaży *Do zobaczenia w piekle* (Warszawa 2008) dowiedziałem się, że otrzymałem zakaz wjazdu na teren Republiki Białoruskiej. Powodem były teksty o Chatyniu, którym w czasach ZSRR próbowano przykryć zbrodnię katyńską, Wiktarze Chursiku i spalonej przez komunistycznych partyzantów wsi Drażne, Jazepie Januszkiwiczu – samuraju z Rakowa, Feliksie Popławskim i iwienieckich franciszkanach... Od tego czasu z konieczności moje kontakty z Białorusinami ograniczały się do osób spotykanych w Polsce, ale także na Ukrainie podczas Majdanu, w Międzynarodowym Domu Literatów i Tłumaczy na Łotwie...

Ponownie spotkałem Pawła Lachnowicza we wrześniu 2019 r. w Łucku: z inicjatywy Konsulatu RP w 110. rocznicę urodzin patrona Międzynarodowej Nagrody zainaugurowano Rok Łobodowskiego na Ukrainie.



Wojciech Pestka (z lewej) i Paweł Lachnowicz

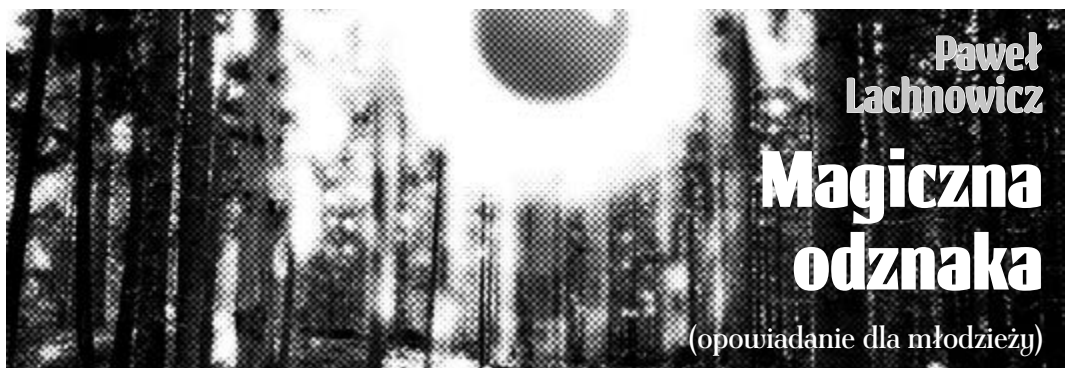
Był gościem honorowym międzynarodowej sesji naukowej „Literacka spuścizna Józefa Łobodowskiego w kulturowym kontekście współczesności” odbywającej się na Wschodnioeuropejskim Uniwersytecie Narodowym im. Łesi Ukrainki.

Na bankiecie posadzono nas obok siebie, mieliśmy okazję poznać się lepiej. Rozmowę kontynuowaliśmy następnego dnia jadąc na cmentarz wojenny na miejscu bitwy Legionów Polskich 4–6 lipca 1916 roku pod Kościuchnowką. Okazało się, że ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Marynarki Wojen-

nej im. Kirowa ze specjalnością nawigatora okrętów podwodnych, a służbę wojskową pełnił na podwodnych okrętach atomowych Floty Północnej. Kiedy pytałem go o wspomnienia z wojska wzruszał ramionami, nie chciał rozmawiać, okręt, na którym służył, za bardzo przypominał mu piekło. Za to z pasją opowiadał o polowaniu z aparatem fotograficznym, wyczekiwaniu w lesie po nocach na dobre zdjęcie wychodzących na łów zwierząt. Wyszło na jaw, że jest instruktorem szkół walki, organizatorem ekstremalnych zimowych i letnich obozów „przetrwania” dla młodzieży. Zaintrygowały mnie te niecodzienne zainteresowania literata i tłumacza, który z założenia większość czasu powinien spędzać z nosem w książkach.

Byłem przygotowany na niespodzianki, ale propozycja, bym przetłumaczył opowiadanie dla młodzieży (i do tego science fiction) mimo wszystko mnie zaskoczyła. Argumentem, który mnie przekonał była informacja zamieszczona w mailu, że wszystkie białoruskie czasopisma odmówiły druku ze względu na niedozwolone treści polityczne zawarte w tekście.

Tym bardziej się więc cieszę, że opowiadanie *Magiczna odznaka* Pawła Lachnowicza ma swoją polską premierę, inaugurując nową serię „Koziołka”, literackich dodatków „Lublina” adresowanych do dzieci i młodzieży. A autor – od 9 sierpnia śledzę wpisy Pawła na Facebooku, w zależności od włączeń i wyłączeń Internetu mniej lub bardziej regularne – jest w pierwszym szeregu, bo wierzy, że walka o wolną i praworządną Białoruś jest nie tylko obowiązkiem, ale i niezbywalnym prawem jej obywateli. ●



## 1

MAMA WESZŁA DO POKOJU i zaraz zacznie poprawiać moją kołdrę. Potem pocałuje. Wstydzę się – co to za zwyczaj całowania jak malucha! – dlatego udaję, że od dawna mocno śpię. Ręce mamy są lekkie, prawie nieważkie. I szybkie. Tata czasami też poprawia, ale nie całuje, a jego ręce są zupełnie inne niż mamy. Opanowane i dokładne.

Wieczorem po cichu wślizgnąłem się do mieszkania, do pokoju, rozebrałem się i położyłem. Nawet nie jadłem kolacji. Nos mam opuchnięty i obolały, pod okiem świeży siniak, nie lubię przesłuchań – kto, co, za co...

Jak tylko skrzypnęły drzwi, podbite oko przycisnąłem do poduszki, zamknąłem. Udawałem, że śpię. Nie powinno się mnie budzić na kolację. Poprawia. Łza spada na moją twarz i wywołuje moje przerażenie:

– Mamo, czy ty płaczesz?

– Nic, Todarka, to ja... wszystko będzie dob...rze.

– Co będzie dobrze?

– Policja zabrała tatę. Aresztowali go, piętnaście dni.

Paskudnie. Chociaż to nie pierwszy raz. Mój tata walczy o prawa człowieka. Walczy o innych a sam nie może się obronić. Za każ-

dym razem, gdy sadzają go na 24 godziny – jest oskarżany o wulgaryzmy, chociaż tatuś nigdy nie przeklina. Tata mówi, że skoro się na nim mszczą, to znaczy, że dobrze sobie radzi.

Może ten czarny siniak jest naprawdę spowodowany tym, że zgubiłem odznakę? Biłem się z Kolką Akułowiczem i Żorką Słowikiem i wtedy ją straciłem... Już prawie byłem górą, chociaż to oni obaj zaatakowali, a wtedy znaczek odpiął się i – dzyń! Wpadł w szczelinę między deskami. I od razu Kolka z Żorką złapali drugi oddech. Kolkę już wyeliminowałem z bójki celnym hakiem, siedział i płakał, ja szarpałem się w tym czasie z Żorką. A kiedy odznaka zginęła, wszystko się zmieniło. Kolka przestał płakać, chwycił mnie od tyłu w objęcia. Ręce przycisnął mi do tułowia. Mogłem tylko kopać Żorkę. Pobili mnie. Rozkwasili nos, podbili oko. To akurat nie jest straszne, przejdzie. Bardziej martwi mnie utrata odznaki. Wujek Franek nie bez powodu powiedział: Dopóki jąnosisz, wszystko będzie dobrze. Rzeczywiście, jak tylko ją straciłem Kolka i Żorka natychmiast zyskali przewagę. I do tego tata został aresztowany...

Siedziałem wtedy przy komputerze i grałem w strzelankę. A nagle zgrzyt klucza w drzwiach, tata przyszedł z wujkiem Frankiem. Tata się złości, kiedy gram na komputerze, wołałby, żebym uczył się, nie patrząc, pisać wszystkimi palcami, nawet zainstalował mi specjalny program „Solo na klawiaturze”. Słyszając klucz w drzwiach, natychmiast zamknąłem grę i włączyłem piosenkę. „Pójdziemy zwartmi szeregami”. Na całą głośność. Wujek Franek, jak wszedł, uśmiechnął się szeroko: Och! Prawdziwy Białorusin! I podarował mi znaczek w kształcie flagi. Na białym polu czerwony pasek. Właśnie o tym śpiewają w refrenie tej piosenki. I powiedział, żebym go nie zgubił, bo odznaka jest magiczna i w ogóle... Ja oczywiście nie wierzyłem, nie jestem już taki mały, żeby wierzyć w magiczne odznaki! Ale kiedy pomyślę – wystarczyło ją stracić, a wszystko obróciło się do góry nogami.

Podoba mi się to „Pójdziemy zwartmi szeregami”. Bardzo. Taka... odważna, rytmiczna. Aż gęsia skórka. Kiedy jej słuchasz, możesz z granatem pójść na czołg...

W zeszłym tygodniu mieliśmy po lekcjach spotkanie klasowe. Przyszedł z wychowawczynią, Ewą Wiktorowną nauczyciel odpowiedzialny za sprawy organizacyjne i ogłosił, że musimy wybrać klasowy hymn i się go nauczyć, bo będziemy w jego rytmie maszerować. Że zbliża się konkurs, podczas którego każda klasa najpierw zaśpiewa swój hymn stojąc, a potem w ruchu. Klasa-zwy-

cięzca podczas letnich wakacji pojedzie na wycieczkę do Kamieńca w Puszczy Białowieskiej, gdzie znajduje się Biała Wieża, i do Kamieniuki, do Muzeum Przyrody. A wychowawczyni powiedziała, że klasowy hymn zostanie wybrany demokratycznie: wysłuchamy propozycji – zgłaszający musi zaśpiewać piosenkę – a potem odbędzie się głosowanie. Która piosenka zdobędzie więcej głosów, zostanie klasowym marszem. Mam na myśli hymn klasy.

Wszyscy natychmiast ucichli, bo kto chce śpiewać i to solo. Znaleźli solistów! Chór, to jeszcze nic, do zaakceptowania, ale solo... Żeby się ośmieszyć? Nikt się nie zgłaszał, wszyscy spuścili głowy i milczeli. W tym momencie ktoś mnie pociągnął za rękę.

– Wyjdź – powiedziała wychowawczyni – i zaśpiewaj. Posłuchamy, co nam proponujesz...

Nie przepadam za takimi... Występy artystyczne. Ale czasami coś we mnie wydaje się wołać, a wtedy cała nieśmiałość znika. I teraz zawołało. Podszedłem do tablicy, zakaszlałem, a potem jak artysta – la-la-la –la-si-si... si-la-la... – zaśpiewałem. Wszyscy się roześmiali, a ja poczułem się całkowicie swobodnie. Trzymałem palce przed sobą – podpatrzyłem taki gest u jakiejś piosenkarki – koledzy z klasy zaczęli się jeszcze bardziej śmiać.

– Nie błaznuj, ale maszeruj, śpiewając swoją pieśń! – zmarszczyła brwi wychowawczyni. Wtedy ja zacząłem maszerować w miejscu i zaintonowałem:

\* Hymn Białoruskiej Republiki Ludowej z 1918 roku

*Pójdziemy zwartmi szeregami  
Przez nasz ojczysty kraj*



*I wolność zawsze będzie z nami,  
A przemoc w walce pokonamy!*

Tak jestem sobą zaafierowany, że zapomniałem refrenu. Więc nie przerywając marszu w miejscu, ponownie zaczynam od początku: *Pójdziemy zwartmi szeregami...*

– Dosyć! Siadaj! – powstrzymuje mnie nauczyciel od spraw organizacji. – Więcej propozycji! Dalej, dalej!

Ale nikt inny nie chce śpiewać, a moja piosenka oceniona najwyżej staje się marszem piątej B.

– Todor napisze na tablicy słowa, a wy to przepisacie. Jutro po zajęciach będziemy się jej uczyć. Uczyć na pamięć! – rozkazała wychowawczyni i wyszła razem nauczycielem-organizatorem.

Todor to ja. Zostawili mnie samego z całą klasą. Wszyscy od razu zaczęli hałasować, gadać, więc napisałem słowa i też poszedłem. Niech przepisuje, kto chce...

### 3

A nazajutrz, kiedy całą klasą wykrzykiwaliśmy piosenkę, wpadł do nas dyrektor z wicedyrektorem. Czerwoni i wściekli. Dyrektor wyciągnął wychowawczynię na korytarz, tam przez dobre dwie minuty coś wyjaśniał jej półgłosem. Ewa Wiktorowna wróciła z twarzą w plamach jak skóra żyrafy. Klasa przestraszyła się, a dyrektor wytarł twarz chusteczką i zapytał: kto? Wychowawczyni wskazała mnie palcem. Nic nie rozumiałem, ale kiedy dyrektor z wicedyrektorem i wychowawczynią patrzą na ciebie w ten sposób, a do tego cała klasa, mimowolnie czujesz się niezręcznie... Zrobiłem zaskoczona minę i obejrzałem się:

– A ja – co? Ja nic... – przed oczami przewinęły się wszystkie wydarzenia poranka. Zakurzyliśmy trochę w toalecie z Olegiem i Władem, moimi kolegami z klasy. Ale z tego powodu nie byłoby takiej afery. Wciągnęliby do pokoju nauczycielskiego, trochę nagadali, zagrozili rodzicami, zażądali, żeby dać słowo – nigdy więcej, i to byłoby wszystko. Dyrektor nie galopowałby po szkole jak mustang.

Wszyscy patrzyli na mnie, czułem się bardzo niezręcznie, ale trzymałem się. Czekałem – wkrótce powinno być jasne, o co mnie oskarżają i wtedy będzie można myśleć o obronie. Ale – och, cud! – dyrektor uważnie spojrzął na moją odznakę, warknął i wyszedł, za nim zniknęli wicedyrektor z wychowawczynią.

– Nikt nie wychodzi, będę za pięć minut! – rzuciła jedynie wychowawczyni.

I rzeczywiście, wkrótce pojawiła się, już trochę uspokojna – z żyrafy na twarzy pozostały tylko plamki na policzkach. Jak u drewnianej lalki – matroszki.

– Zła tonacja, więc zaśpiewamy inną bardzo piękną pieśń młodych pionierów-leninowców: „Wlećcie płomieniami w niebieską noc” – powiedziała, że moja piosenka nie przejdzie.

Niezadowolona klasa zaprotestowała. Poza tym, kto lubi – już się nauczył, a teraz bez powodu, muszę uczyć się czegoś innego?! Lecz cóż, mimo oburzenia zaśpiewali. Czułem się trochę zraniony. Po co więc głosowanie? Zła tonacja! Ciekawe – Ewa Wiktorowna może nie rozumie, co to za tonacja? Będąc nauczycielem śpiewu, czy uwierzyłbym fizykowi! I ta piosenka – ...Jesteśmy pionierami,

dziećmi robotników...! Mój tata jest obrońcą praw człowieka, moja mama dziennikarką, żadne z nich nie jest robotnikiem – dlaczego miałbym kłamać? Sprawdziłem w pamięci – jak mi się wydaje w naszej klasie nie ma ucznia, który byłby dzieckiem robotników. Dzieci nauczycieli, przedsiębiorców, dwóch policjantów: Akułowicz i Słowik, moi wrogowie, mama Olega Piwaniuka jest dyrektorką mleczarni, a Wład Zarubicki synem kierowcy tira, kierowca nie jest robotnikiem, prawda? Uczą nas, żeby nie kłamać, a potem każą nam śpiewać takie piosenki. Nauczyciele!

#### 4

Na początku nie byliśmy wrogami z Kolką Akułowiczem i Żorką Słowikiem, po prostu ja miałem swoje życie, oni mieli swoje. Jesteśmy przyjaciółmi: Oleg, Wład i ja, – mieszkamy w tym samym domu, a Kola z Żorką w sąsiednim. Przed Nowym Rokiem miał miejsce atak zimy, zasy py wokół, zasypane samochody, korki na ulicach – super! Kolka z Żorką na swoim podwórku zbudowali śnieżną fortecę i z niej obrzucali wszystkich śnieżkami. Oleg, Władek i ja, niczego nie przeczuwając, wracaliśmy przez podwórko z wycieczki na narty i dostaliśmy się pod ostrzał. Bez wypowiedzenia wojny, zdradziecko. To łatwe, atakować z twierdzy, mając nawet wcześniej przygotowane śnieżki! Podczas gdy Kolka i Wład walczyli, ja korzystając z ich osłony utoczyłem śnieżną kulę wielkości dobrego kawona. Podkradłem się do ściany, a gdy Żorka się wychylił, wpakowałem tę kulę na niego. Zabawnie tak: such-ch, i zamiast głowy Żorki jest kula.

Rozpadła się jednak od razu. Wszyscy się śmiali, nawet Kola, a Żorka ryknął jak diabeł tasmański, wyskoczył z twierdzy i rzucił się na mnie. Nie dałem mu żadnego powodu, bo przecież to oni nas ostrzelali, ale skoro tak, to proszę!

Najpierw Żorka próbował zaatakować mnie nogą, low-kikiem. Zrobiłem unik, Żorka na zdeptanym śniegu poślizgnął się, chybił i upadł. Wiadoma sprawa, kto walczy nogami jak jest ślisko! Czekałem, aż wstanie i kiedy drugi raz się na mnie rzucił, powstrzymałem go prostym podbródkowym. Lewy trafił prosto w nos, a hak minął, szczęście Żorki. W tym momencie Kolka wyskoczył na pomoc, ale przechwycili go Oleg i Wład. Kola szarpnął się trochę na pokaz i uspokoił. A Żorka krwią z rozbitego nosa farbował śnieg i skowyczał, że ojcu naskarzy, że mnie złapią, a potem na własnej skórze doświadczyć...

– Od tego czasu zapanowała wrogość między dziećmi obrońców praw człowieka i dziećmi policjantów – powiedział tata, jak się dowiedział o wszystkim. Posłużył się przerobionym cytatem z jakiegoś starego zapisu.

W klasie Kolka z Żorką ani ze mną, ani z Olegiem i Władem nie rozmawiają, a na ulicy grożą, że złapią nas jednego po drugim i pobiją. Zobaczmy, kto kogo... Ale mnie przestraszyli!

#### 5

Nasz dom jest stary, naprzeciwko niego na podwórku stoi dwupiętrowy budynek gospodarczy – barak. W nim do każdego mieszkania jest przypisana komórka. Jest





tam całe mnóstwo ciekawych rzeczy. Tata mówi, że to nieprawda, ale mam inne zdanie. Czasami są one bardzo przydatne.

W ciągu ostatnich dwóch lat wiele razy zamierzali wyburzyć barak, a na jego miejscu stworzyć plac zabaw. Mieszkańcom nakazano opróżnić komórki. Ktoś posłuchał od razu, ktoś inny nie, więc część komórek jest teraz pusta. Bawimy się tam. W wojnę, w terrorystów, w policjantów – złodziei, w Kalinowskiego. Jedna komórka pełni rolę sztabu. Przyciągnęliśmy tapczan, stół, materac. Aby obserwować otoczenie, zrobiliśmy specjalne szczeliny. Na drzwiach zawiesiliśmy kłódkę, aby wszyscy myśleli, że pomieszczenie nie zostało jeszcze zwolnione.

Właśnie w sztabie dopadli mnie Kolka z Żorką. Nie wiem, co mnie tam przywiodło. Zimą raczej bardziej jesteśmy zainteresowani nartami albo łyżwami. Wszedłem, a tam wszędzie ponawiewało śniegu – na stół, na podłogę. Zacząłem zamiatać, kiedy zawiasy skrzypnęły i zobaczyłem ich w drzwiach.

– Co? Nie spodziewałeś się?

Najwyraźniej zdradziły mnie ślady na śniegu.

Odnaka przez w szczelinę w podłodze przeleciała na parter. Tam pod sztabem była dawniej komórka naszego sąsiada z czwartego piętra. Zmarł w zeszłym roku, był fizykiem. Tata i mama poszli na pogrzeb, bardzo go żałowali. Mówili, że był dobrym człowiekiem. Prawdziwym patriotą Białorusi. Patriotą to ten, kto kocha rodaków. Mama powiedziała, że to łańskie słowo. A ja odpowiedziałem mojej mamie, że lepiej używać własnych słów niż cudzych. Na przykład „ojczyznolubiec”. A jeszcze lepiej „swójród-

kochający”. A mama się rozgniewała. Nie lubi, gdy ją poprawiam.

Od dawna nikt nie zagląda do komórki fizyka. Zamek jest zardzewiały. Muszę się tam dostać, by znaleźć odznakę. Może poproszę o klucz wdowę po fizyku, ciocię Anielę?

## 6

Ciocia Aniela dała klucz, powiedziała tylko, że wszystko w komórcie jest w nieładzie. Nie jest pewna, czy można tam znaleźć taki drobiazg. Byłem nawet obrażony na początku. To nie jest drobiazg! Jego zguba spowodowała, że wszystko się popsło. Ale od razu wytłumaczyłem sobie, że uvidać miała rozmiary na uwadze.

Klucz do dziurki wszedł z oporem i natychmiast ugrzązł tak, że ani się nie obrócił, ani nie dał wyjąć. Na czas, kiedy próbowałem coś z tym zrobić – poprosiłem Olega i Włada, nie dlatego, że bałem się Kolki z Żorką, ale postanowiłem być ostrożniejszym – minęło dwadzieścia minut. Oleg i Władzia byli w rękawiczkach, a ja szarpałem się z metalem gołymi rękami i odmroziłem palce, przestałem je czuć. Poszedłem do domu się ogrzać. Odmrożone palce zareagowały bólem, od niego aż tarzałem się po podłodze i jęczałem. Dobrze, że nikt tego nie widział.

W tym czasie Oleg i Wład pobiegli do garażu do ojca Włada, ten poradził im, aby wpuścili kilka kropel nafty do zamka i odczekali pół godziny, aż rdza zmięknie. Nawet odrobinę nafty wlał do butelki. Och, prawdziwa śmierdziucha! Ale rzeczywiście dziesięć minut później (nie mieliśmy tyle cierpliwości, aby czekać pół godziny!) klucz w dziurce się obrócił i rygiel zamka puścił.

Mroczny składzik fizyka oświetlało małe, brudne okienko pod sufitem. Nie było tam żadnego bałaganu tylko dobrze wyposażony warsztat. Po lewej stronie pod ścianą znajdował się stół warsztatowy z masywnym blatem i imadłami na obu końcach. Na ścianie w specjalnych uchwytach leżały i wisiały różne nieznanne mi narzędzia. Władek jak to zobaczył, to aż sapnął – Wow! Ach ty!

Ściana pod oknem była obwieszona różnymi półkami i zastawiona pudełkami ze zwojami drutu, detalami radiowymi, jakimiś nakrętkami-krokodylkami-podkładkami, kłębkami sznurka, kolorowymi skrawkami jakichś niezwykłych tkanin. Aż oczy wychodziły na wierzch.

Całą prawą ścianę zajmowała klatka wykonana z pozieleniałych, przypuszczalnie miedzianych, prętów połączonych nitami. Drzwi klatki były odsunięte na bok jak w przedziale wagonu, nad wąskim wejściem widniała tabliczka NIE WCHODZIĆ!!!

Nie ma nic bardziej pociągającego niż wejście, nad którym widnieje taki napis. Pierwszy przecisnął się Oleg. I zaczął zza zielonych krat robić grymasy jak orangutan. Wład poszedł za nim. Nie miałem zamiaru iść w ich ślady, ale wtedy zauważyłem w odległym rogu klatki moją odznakę – białą flagę z ciemnym paskiem pośrodku – i z ulgą, że się znalazła, wcisnąłem się za przyjaciółmi. W trójkę było nam dość ciasno, a ja, pochylając się, by podnieść zgubę, zaczepiłem kurtkę o jakąś dźwignię. Poddała się, zazgrzytały liny i bloczki, drzwi klatki drgnęły i ruszyły. Dźwięcznie szczęknął zamek.

Nie zdążyłem jeszcze podnieść odznaki z podłogi, kiedy poczułem, że coś się zmieniło. Spojrzałem z ukosa – ceglane ściany komórki, warsztat, okno pod sufitem – wszystko zbladło i poruszyło się, jakby w strumieniu gorącego powietrza stało się przywidzeniem jak miraż i zniknęło. Półmrok zamienił się w jasne światło, a zamiast ciemnej komórki pojawił się bajkowy krajobraz.

Błękitne słońce wisiało na żółtym niebie nad różowymi górami. Morza szmagardowo-zielone fale przyboju przewalały się po czerwonym piasku. Między plażą a górami rósł las, miedziane drzewa szeleściły srebrzystym listowiem. Różnokolorowe ptaki, świecące jak neonowa reklama, przelatowały z gałęzi na gałąź i śpiewały. Głosy ptaków były podobne do dźwięków fletu czy może klarnetu. Wszystko wokół było nierzeczywiste, jak na obrazach surrealistów, a jednocześnie całkowicie realne – i obraz, i dźwięki, i zapachy.

Nasza klatka stała na podwyższeniu z jakiegoś niebieskiego kamienia, wypolerowanego do połysku. W dół prowadziły stopnie. Wydawało się, że klatka była taka sama, z miedzianych prętów, ale zmieniła się – z zielonej stała się błyszcząca jak złoto. I nie było ostrzegawczej tabliczki.

Wszystko to zdołałem uchwycić kątem oka, pochylony, aby podnieść odznakę. Tylko przez chwilę zawahałem się zdumiony. W tym momencie zza pnia drzewa z impetem wyleciało stworzenie podobne do urony albo szpaka. Duże niczym indyk. Wsunęło przez pręty klatki nogę z dwoma palcami, przypominającymi kleszcze raka, zręcznie, jak magik chwyciło moją odznakę,



wepchnęło ją do dzioba i odleciało. Zostawiło mnie z wyciągniętą ręką zgiętego jak idiotę – w odwróconą literę L.

Odwróciłem się i potrząsałem głową. Nic się nie zmieniło. Oleg i Wład milczeli, oszołomieni, i było jasne, że to nie jest moja halucynacja. A jeśli to halucynacja, to przynajmniej nie tylko moja. W końcu Wład głośno wyszeptał: Gdzie jesteśmy? A Oleg głosem papugi Kieszki z kreskówki nagle zapytał: Czy byliście na Haiti? Widać to, co zobaczył, przypomniało mu tropikalną wyspę. Te słowa wywołały mój atak śmiechu. Zauważyłem to dawno temu – jeśli ktoś jest przestraszony, podekscytowany, to bardzo łatwo go rozśmieszyć. Wład zaraził się ode mnie, a potem i Oleg. Przez chwilę kręciliśmy się i popychaliśmy, ponieważ nie było gdzie rzucić się i wytarzać ze śmiechu w ciasnej klatce. A kiedy się już wyśmialiśmy, Władek wsunął mi rękę za plecy, odczepił kurtkę od dźwigni i ostrożnie zaczął poruszać nią w różnych kierunkach. Dźwignia poszła w górę – szcęknął zatrzask, drzwi przesunęły się i otworzyły.

Wyszliśmy jeden po drugim i zesłiliśmy z podwyższenia. Oleg spojrzął na mnie i Włada, zachichotał i znów zaczął deklamować: stoję na asfalcie, mam na nogach narty... W zimowych ubraniach rzeczywiście wyglądaliśmy zabawnie w tej kurortowej scenarii. Tylko już nie było nam do śmiechu. To było przerażające – od razu poczułem ochotę, by zmienić ten kolorowy krajobraz na szary, zimowy dzień, skąd przed momentem tu dotarliśmy. I w piersi pojawiła się grudka. Wład, kiedy się denerwuje, chce jeść, Oleg – żartować, a ja mam grudę zamiast serca.

Robiło się gorąco, zrzuciliśmy ubrania i zostaliśmy tylko w majtkach.

Władek pokręcił głową, rozejrzał się i stwierdził: Słonia bym zjadł! Może pójdziemy do lasu i znajdziemy coś jadalnego?

– Zdążymy do lasu – powiedziałem. – Musimy pomyśleć, jak wrócić. Nie zostaniemy przecież w tym rajku na zawsze. Jeśli ktoś się zgubi, najlepiej wrócić po własnych śladach. Można powiedzieć, że się zgubiliśmy. Całe zdarzenie miało miejsce, gdy przypadkiem nacisnąłem dźwignię w klatce. Drzwi drgnęły...

– Może spróbujemy to powtórzyć? Mogę wejść do klatki i nacisnąć jeszcze raz? – przerwał mi Oleg. – A Wy zobaczcie, co się stanie.

– Aha!... wrócisz do domu, a ja i Todar zostaniemy tu, żeby się wygrzewać? – zawołał Wład. – Bez jedzenia, bez dachu nad głową!

– Myślisz tylko, jak napchać brzuch... Ale tak naprawdę, nie powinniśmy się rozdzielać. Wszystkie te próby musimy robić razem – zgodził się Oleg.

Znowu weszliśmy do klatki i nacisnąłem dźwignię. Drzwi przesunęły się gładko, zamek zatrzasknął się. I nic się nie stało...

– A może klatka nie chce nas nagich zabrać z powrotem. Skoro przybyliśmy tu ubrani jak na zimę, to chyba powinniśmy podobnie wracać. Gdybyśmy teraz znaleźli się w tym samym miejscu, w tym warsztacie, to na ulicę wyszlibyśmy w majtkach. To byłby dziw: trzech golasów na śniegu – wyraziłem swoją opinię.

Ubraliśmy się, weszliśmy do środka, nacisnęliśmy – bez efektu. Znowu się rozebraliśmy, Upał. Siedliśmy na czerwonym piasku.

W kiepskim nastroju.

– Może się wykąpiemy? – zaproponowałem, żeby coś powiedzieć. Nie miałem ochoty na pływanie. Chciałem wrócić na swoje podwórko, do domu, do zimy. I żeby nie płakała mama, a tatę wypuścili. W środku byłem bardzo wystraszony i ledwo się powstrzymywałem, by nie pokazać tego po sobie. Ta nagła transformacja mrocznej komórki z brudnym oknem na elegancką plażę z nieziemskimi kolorami i dźwiękami, każdego może wyprowadzić z równowagi.

– A czy wiesz, co jest w tym morzu? Może kwas albo jakaś inna cholera? Wejdiesz i wyjdiesz bez majtek. I bez skóry... – powiedział Wład. – Popatrz, ta woda zupełnie nie wygląda jak woda? Jak lemoniada.

– Dobra, pójdę na zwiad! – słowa Włada dodały mi energii. – Tutaj niczego nie wysiedzimy. Trzeba rozejrzeć się, co i jak... Czekać, sprawdzę.

Przy brzegu woda była jak woda, chociaż nie zielona. Czerwona – widać od czerwonego piasku, który zalegał na dnie. Fala przyboju rozlewała się po plaży z syczeniem. Po słowach Włada o kwasie było mi trochę strach. Bardzo ostrożnie dotknąłem jej opuszką palca, czekałem. Nie, to nie kwas – skóra na palcu nie zmieniła wyglądu. Próbowałem językiem – zwykła woda morską! Zdarzało mi się odpoczywać nad morzem – wiedziałem.

Pływaliśmy, opryskiwaliśmy się i krzyczeliśmy. Fale przyjemnie łaskotały, a mój niepokój jakoś stopniowo zniknął. Nurkowałem i chwyciłem to Włada, to Olega za łydki. Gdy po raz kolejny capnąłem Olega, nagle mocno machnął nogami i uderzył

mnie w ramię. To boli! Wynurzyłem się, chciałem powiedzieć, że tak się nie bawimy. Oleg i Wład z krzykiem rozdzierającym serce uciekali z wody. A nade mną pochylała się brzydka głowa na długiej szyi. Cztery czerwone ślepia ze źrenicami-szczelinami jak u kota patrzyły uważnie i groźnie. W rozchylonej paszczy błyszczały białe, jakby porcelanowe zęby. Duże i równe, jak u konia. Nawet głowa była podobna do końskiej, tylko w brodawkach, jak głowa afrykańskiego dzika – guźca. Wzdłuż długiej szyi miał płaski grzebień. Jaszczur? Dinozaur? Potwór z Loch Ness? Skóra cętkowana, zielono-srebrno-czerwona. Lokalny kamuflaż?

Wszystko to zdążyłem zauważyć w mgnieniu oka, a nogi już zdążyły wynieść mnie na brzeg. Wład i Oleg biegli do klatki – jedynej, która w jakiś sposób łączyła się z naszym światem i która wydawała się bezpieczna. Piasek leciał spod ich stóp. Oprzytomnieliśmy dopiero, kiedy szczęknął zamek. Morze wciąż zalewało czerwony brzeg zielonymi falami, potwór zniknął. Najwidoczniej zanurkował.

## 8

W klatce siedzieliśmy dość długo. Ale w końcu z powodu ciasnoty musieliśmy z niej wyjść. Na duszy było tak kiepsko, że próby Olega, by nas rozweselić, doprowadzały tylko do irytacji.

– Znalazłeś czas, żeby się wygłupiać!!! – płaczącym głosem zajęczał Wład. – Tu można umrzeć z głodu, chce mi się pić, taki potwór, sami ledwo nie zostaliśmy zjedzeni, a on z głupimi żartami!

– Chłopaki, naprawdę musimy coś zrobić.



– Mnie też chciało się pić. – Może najpierw poszukamy świeżej wody? Tam są góry, muszą spływać strumienie... trzeba jeszcze przygotować jakąś broń – pałki, może luk. Ech! Że też nie ma noża!

– Jest nóż! – krzyknął Wład i rzucił się do stosu ubrań. – Musi być! Włożyłem wczoraj do kurtki. Tu jest drut..., sznurek..., gdzie jest nóż? Musi być gdzieś w kieszeni – Wład gorączkowo grzebał po kieszeniach. – Tak jest! Tutaj!

– Zobaczmy, może znajdziemy jeszcze coś przydatnego – zaproponowałem. – Nożem można zrobić broń, sznurek na cięciwę do łuku, drut... drut, do przywiązania kamienia do kija, młotek będzie, a nawet kamienny topór!

Przeszukaliśmy kieszenie. Oleg miał tylko chusteczkę i telefon komórkowy. Ja nie miałem nic. Wład okazał się najbardziej zapobiegliwy.

– Martwy – ponuro powiedział po chwili Oleg. – Bateria padła. Myślałem, że będzie można do kogoś zadzwonić.

– Do kogo chciałeś dzwonić? – spytał go zirytowany Wład. – Jakie znowu telefony? Pierwszą rzeczą, której teraz potrzebujesz, to znalezienie czegoś, co możesz zjeść i wypić. Chodźmy do lasu i sprawdźmy, może tam rośnie coś jadalnego? To jednak przerażające..., jeśli w morzu są takie potwory, to i w lesie mogą.

– Znaczący, pierwszą rzeczą do zrobienia jest zdobycie jakiejś broni – powiedziałem jeszcze raz. – Walczyj, jeśli co...

– Walczyć! – szyderstwem zareagował Oleg. – Sądząc po długości szyi, nasz krokodylek powinien ważyć nie mniej niż słoń.

Co takiego zrobisz? Pogroźysz mu różdżką?

– Chociaż można ubić w oko. Albo w paszczę – powiedział rozsądnie po chwili milczenia. – Myślę, chłopaki, że ten potwór nie jest mięsożercą. Po pierwsze, gdyby chciał nas zjeść, nic by mu w tym nie przeszkodziło. A po drugie, pamiętacie „Park Jurajski”? Tam wszyscy mięsożercy mieli ostre zęby. Nawet te współcześnie żyjące – krokodyle, anakondy, warany – wszystkie mają spiczaste zęby. A nasz wodny potwór – przypominacie sobie – zęby miał równe. Więc może zjada rośliny, a na nas tylko tak, z ciekawości spojrzął?

– Nie przypominam sobie... – powiedział Wład i wzdygnął się. – Brrr! Pamiętam tylko, że miał olśniewający uśmiech. I wiesz, że konie mogą ugryźć, chociaż trudno w to uwierzyć. Mimo, że nie mają spiczastych zębów. Na wsi koń odgryzł nos mojemu kuzynowi! Czy ucho.

– Ty, kiedy fantazjujesz, myśl trochę. Nos, ucho... – zakpiłem z Władem. – Ja pamiętam. Byłem najbliżej niego. Tak naprawdę – ten potwór z Loch Ness ma równe zęby. Białe jak porcelana. A oczy czerwone. Cztery. Dlaczego cztery? Mówiąc w skrócie! Idziemy teraz do lasu, robimy broń! Zgoda?

## 9

Weszliśmy do lasu, dzikiego i prawie nie do przejścia. Z powodu gęstej szaty roślinnej panował półmrok i tylko tam, gdzie runęły stare drzewa, w koronach tworzyła się dziura, szalało światło. A tam, gdzie było światło rosły młode krzewy. Było wiele takich luk i wiele miejsc, w których leżały grube pnie. Widać drzewa uschły ze starości i ru-

nęły. Nos drażnił nieznany zapach, całkiem zresztą przyjemny. Nic wspólnego z zapachem rozkładu i pleśni. A barwy! Jakie kolory! Żadnych odcieni zieleni, żółci i brązu, do których przywykliśmy. Wszystko wokół błyszczący metalem. Srebrne i aluminiowe liście, miedziane pnie, niklowe poszycie, złocista ściółka. I mnóstwo nieznanych ptaków o jaskrawym, różnokolorowym upierzeniu. U naszych ptaków coś podobnego można zobaczyć tylko u zimorodka.

Znalazłem krzak z podobnymi jak u leszczyny gałęziami i naciąłem jedną scyzorykiem u podłoża. Chciałem zrobić coś w rodzaju piki. Drewno było twarde, ale dało się ciąć. Z nacięcia wyciekł gęsty sok o czerwonej barwie. Był tak podobny do krwi, że poczułem się nieswojo. I nie mogłem ciąć dalej. Nie ruszałem już żywych drzew, z leżących gałęzi zrobiłem trzy oszczepy, trzy maczugi i łuk. Do łuku na razie nie było strzał, miałem nadzieję na znalezienie odpowiedniej gałęzi później. Powinny być idealnie proste. W tym czasie Wład i Oleg wypatrzili w koronach drzew owoce i wdrapali się do góry. Tup! Tup! – owoce uderzały o ziemię. Tup! I potem... Aaa! Ba-buch! Ba-buch! – obaj z przerażeniem w oczach: Tam! Tam! – smok!

Łazili po drzewie, zrywali i rzucali na ziemię owoce podobne do arbuźów, tylko trochę twardsze. Arbuzy po takim uderzeniu rozleciałyby się, a te tylko pękały. A nagle, tuż przed twarzą, najpierw Olega, a potem Włada pojawiły się głowy węża. Wokół miedzianego pnia i grubych gałęzi drzewa był owinięty ogromny wąż. Kolor jak pień drzewa miedziany, w srebrne plamy. Niewi-

doczny, kiedy się nie ruszał. Olega i Włada siła jego spojrzenia jakby zahipnotyzowała. A potem, kiedy prześlizgnął się przez gałęzie, rozpostarł wielkie skórzane skrzydła i odleciał, odpuściło ich. Okazało się, że to jeden wąż z dwiema głowami. Jak bajkowy smok. Równocześnie wydali okrzyk i zsunęli się z drzewa. Błyskawicznie.

Wład dygotał, a Oleg opowiadał mi o latającej ważce. Powiedział, że jest gruba „jak pies babci Róży”. To taka babcia z naszego podwórka, która bez opamiętania karmiła swego psa, więc jeśli coś lub ktoś jest gruby, mówi się „jak pies babci Róży”. Taki podwórkowy żart.

Gdy Wład trochę się uspokoił, zaczęliśmy testować te owoce na jadalność. Bo Wład był gotów je zjeść bez sprawdzenia. Tym bardziej, że jasnioletowy miąższ pachniał smażonym mięsem. Od razu wydawało mi się to podejrzane. Jak to jest – rośnie na drzewie i pachnie pieczonym mięsem! Nie pamiętam, skąd mi to przyszło do głowy, może gdzieś o tym przeczytałem, ale najpierw potarłem tym miąższem wewnętrzną stronę łokcia. Piętnaście minut upłynęło na marudzeniu Włada i żartach Olega. Skóra nie uległa zmianie, nie miałem żadnych nieprzyjemnych odczuć. Potem odgryzłem kawałeczek owocu, przeżułem i wyplułem. Smakował jak smażony sum. Poczekaliście jeszcze dwadzieścia minut, chociaż w naszych brzuchach grała marsza cała orkiestra. Znowu nic złego. Kolejny test polegał na połknięciu niewielkiej ilości „materiału” i odczekaniu pół godziny. Wład nie pozwolił mi na ten test. Wziął go na siebie. Zjadł moim zdaniem o wiele więcej, niż było to wyma-



gane z punktu widzenia bezpieczeństwa. I – hura! Minęło może czterdzieści minut, a Wład był żywy i zdrowy. A nawet przestał głęzić, że jak się ze mną zadaje, zawsze popada w kłopoty. Więc się najedliśmy tym roślinnym kurczakiem lub sumem, wzięliśmy broń i poszliśmy szukać świeżej wody. Wyszliśmy z lasu i poszliśmy wzdłuż brzegu. Założyliśmy, że jeśli istnieją strumienie, to na pewno będą płynąć do morza. Kiedy tak szliśmy, powiedziałem, że bez jedzenia człowiek może przeżyć nawet i miesiąc, ale bez wody tylko kilka dni.

– Jak długo tu jesteście? Jak dla mnie, to cztery godziny, może pięć. A słońce – spojrzcie na to! – wciąż na tym samym miejscu – zauważył Oleg. – To dziwne. Nie ma tu nocy?

Rzeczywiście niebieskie słońce, jak wisiało nad górami, tak nadal wisiało, nie poruszywszy się nawet o jeden stopień. Przynajmniej tak wyglądało gołym okiem. A różowe góry nie zmieniły koloru.

Potok znaleźliśmy szybko, półtora kilometra od klatki, gdzie las podchodził aż do brzegu morza. Krystalicznie przezroczysty, a przy tym krystalicznie dźwięczny – płynął między niebieskimi kamieniami. Wład natychmiast rzucił się do picia, ale powstrzymał go Oleg. Powiedział, że musimy to jakoś sprawdzić, co to za potok i czy to woda. Skoro już sprawdzaliśmy morze, owoce, to trzeba także i wodę...

Musiał to sprawdzić sam. Początkowo chciałem to zrobić ja, ale Wład zaczął krzyzczeć, że będziemy ryzykować po kolei, że on i ja już ryzykowaliśmy. Oleg nie miał nic przeciwko. Delikatnie zwilżył czubek małego

palca, odczekał. Nic. Popróbował językiem. Chyba woda... Wypił łyk z dłoni... Czekał chwilę. Władek niecierpliwie dreptał i dopytywał: No i jak? Minęło dwadzieścia minut i nic się nie działo z Olegiem, napiliśmy się i my. Woda. Zimna i smaczna. Zwróciłem też uwagę na kamienie. Z tego samego monolitycznego kamienia był postument pod klatką. Wziąłem dwa, wielkości gęsiego jajka, uderzyłem jednym o drugi. Posypały się iskry.

– Iskry krzesze, to dobrze – powiedziałem. – Spróbujemy rozpalić ogień. Jeśli tylko to miedziane drewno z lasu zechce się palić. Bo wygląda na coś, co się nie pali. Gdyby jeszcze ten kamień dał się rozłupać, można by zrobić siekiere. Bez siekiery trudno będzie nam zrobić szałas.

– Nie ochroni nas przed potworem szałas z gałęzi i liści! – zakrzyczał Wład. – W tym celu trzeba zbudować twierdzę z betonu! Albo znaleźć jaskinię, żebyśmy mogli do niej wejść, a coś dużego – nie.

– Po co nam ogień? – zapytał Oleg. – Gorąco tu jak w tropikach. A mięso, czy cokolwiek to jest, gotowane na drzewach rośnie... i szałas też nie jest potrzebny, nie wygląda na to, że tu padają deszcze, a jeśli nawet padają, to teraz nie jest ta pora, ale jako ochrona przed niebezpiecznymi zwierzętami, to tu Wład ma rację, szałas nas nie ochroni. Musimy zastanowić się, jak wrócić do domu. Pewnie już nas szukają.

Myslałem o tym, nawet bez przypomnienia ze strony Olega, przez cały czas. Głowa mi puchła. Ale nic nie mogłem wymyślić. Dlaczego klatka nas tu wrzuciła, a z powrotem, czy gdzieś indziej nie możemy się do-

stać? Może chodzi o odznakę? Kiedy zaczę-  
piłem o tę cholerną dźwignię, w klatce była  
odznaka, a teraz wszystko jest tak samo, tylko  
bez niej. Może spełnia jakąś rolę? Jak karta  
SIM w telefonie. Z odznaką klatka działa ,jak  
przejście między równoległymi rzeczywisto-  
ściami (w końcu to nie jest Ziemia, a to na  
tutejszym niebie nie jest słońcem), a bez niej  
jest po prostu tylko klatką. Z drugiej stro-  
ny – no cóż, jaki może być związek między  
pomysłową konstrukcją fizyka a prezentem  
wuja Franka? Głowa pękała, ale nic spryt-  
niejszego nie mogłem wymyślić.

## 10

Wład, jak tylko usłyszał o domu, znowu za-  
czął skomleć, jaki jest głupi, i po co wchodził  
do klatki, jeśli było napisane, aby nie wcho-  
dzić, i że jak z nami, ryzykantami się zadaje,  
to zawsze to mu wychodzi bokiem..., że nas  
szukają, i teraz, jeśli nawet uda mu się wró-  
cić, dostanie mu się tak, jak nigdy dotąd.

To prawda, Włada ojciec czasami wycho-  
wuje pasem. Moi rodzice i rodzice Olega wy-  
chowują nas wyłącznie słowami, Olegowi  
mogą przy tej okazji jeszcze czegoś zakazać.  
Na przykład, kiedy w zeszłym roku ganiał  
rowerem po szkolnym korytarzu i rozpędzo-  
ny przewrócił Ewę Wiktorówną na podłogę,  
rodzice nie kupili mu obiecanych rolek. Do-  
kładniej mówiąc, podarowali, ale z sześciu-  
miesięcznym opóźnieniem.

A jak dla mnie, to niech nas jak tylko chcą  
mocno ukarzą za nieobecność, byle tylko  
wrócić. Boję się nawet myśleć, że zostanie-  
my tu na zawsze, w tym Edenie, gdzie latają  
kolorowe ptaki, dwugłowe smoki, dinozaury  
pływają w morzu, gdzie na drzewach rośnie

smażony kurczak, a z góry świeci nierucho-  
me niebieskie słońce, czy jak je nazwać...

## 11

To nie była kraina nieustającego dnia! Nie-  
bieskie światło zaczęło stopniowo zanikać.  
Jak latarnia z potencjometrem – powiedział  
Wład. Jest najbardziej zaawansowanym  
technicznie: elektrycznie i mechanicznie. Zu-  
pełnie nie wiem, co to za rzecz – potencjo-  
metr. Słowo niby znajome, a co to znaczy  
– nie wiem.

Krótko mówiąc, zaczęło świecić coraz  
słabiej i słabiej, aż zmieniło się w niebieski  
dysk. A żółte niebo stało się ciemnobrązowe.  
I bez jednej gwiazdki! Okoliczny krajobraz  
tonał w upiornym niebieskim świetle. Pta-  
ki-flety zamilkły w lesie. Oleg i ja, kładąc  
pod głowami zwinięte ubrania, położyliśmy  
się spać w pobliżu niebieskiego postumentu,  
Wład wspiął się do klatki i zamknął. Po tym  
wszystkim, co przeżyłem, ledwo dotknąłem  
głową „poduszki” i natychmiast zasnąłem.

## 12

– Witam! – odezwał się głos w mojej gło-  
wie. – Jak się tu czujecie? Prawda, że jest  
tu całkiem dobrze? Nie jest zimno, nie jest  
gorąco, wyciągniesz rękę – zerwiesz poży-  
wienie, pochylisz się – ugasisz pragnienie...  
nie trzeba dbać o mieszkanie, o ubrania.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem go. Sie-  
dział obok na piasku, obejmując w kolanach  
nogi. Na w pół odwrócił się ode mnie, jego  
wzrok błędził po falach przyboju. Ogrom-  
ny, o szerokich plecach, cały porośnięty  
gęstą srebrzystą sierścią. Nie włosami, jak  
to czasami bywa u dorosłych mężczyzn,





ale zwierzęcą siecią. Włosy miał tylko na głowie i twarzy. Potężne, umięśnione pierśsi, grube bicepsy dawały mu niezwykłą siłę. Nagie dłonie i stopy pokryte były ciemną skórą. Wokół talii miał spódnicę wykonaną z czerwonych włókien, podobnych do łyka. Widać zbliżał się poranek, ponieważ światło na niebie rozjaśniło się na tyle, by wszystko było dobrze widoczne. Wyglądał jak goryl, tylko z ludzkimi proporcjami i spokojnymi, mądrymi oczami.

– Dzień dobry! – odpowiedziałem, wykrzywiając w grymasie usta. – Kim pan jest?

– Nie musisz podnosić głosu, słyszę twoje myśli. A ty moje – uśmiechnął się. I powtórzył, aby mnie przekonać: wygląda jak goryl... z ludzkimi proporcjami. Dziękuję za mądre oczy, chociaż nikt nie wie, co to naprawdę jest mądrość. Każdy rozumie przez to coś innego... moim osobistym zdaniem najmądrzejsze są oczy psów.

– Kim jestem? Twój współplemieńcy nazywają nas leśnymi ludźmi, inni kaptarami, hum-i-abanami, ałmami i ałmastrami, śnieżnymi ludźmi-yeti... Proszę, mów mi Dror. Po prostu Dror.

– Dobra, Dror – w ogóle się nie bałem, wydawało mi się, że obudziłem się w innym śnie. – Mów do mnie...

– Todar... wiem.

– Teraz śpię i widzę cię we śnie?

– I tak, i nie, Todar. Śny nie istnieją, jest przemieszczanie się naszej substancji energetycznej przez światy.

– To dla mnie trudne. Nie rozumiem. Wydaje mi się, że teraz nigdzie się nie przemieszczam, leżę na czerwonej plaży, obok śpi Oleg, w klatce Wład. Może i to, że tu

jesteśmy, to sen? Czy może my, nasze ciała, walają się bez przytomności w zimnej komórcie na środku naszego podwórka?

– Ciało jest również substancją energetyczną, tylko o wiele gęstszą niż ta, którą nazywasz duszą. Kiedy otworzyliście klatkę-bramę między światami, wpadliście w potężny strumień energetyczny, który rozłożył wasze dusze i ciała na elementarne części składowe, przeniósł tutaj i złożył ponownie.

– Więc nie ma naszych ciał w tej klatce w komórce?

– Nie ma. Jesteście tu w całości.

– Trochę raźniej. W końcu, gdyby rodzina znalazła nasze ciała bardzo by cierpiała... A ta klatka. – Skinąłem głową na niebieski postument. – To ta brama, o której mówiłeś? I w komórce w baraku też jest?

– Tak.

Wład w klatce obrócił się, cmoknął.

– A substancja energetyczna Włada, jego dusza – teraz jest gdzieś indziej?

Dror wykonał skomplikowany ruch dłonią i w powietrzu pojawił się okrągły ekran, jak ogromny telewizor plazmowy. Na nim Wład siedział w zaciemnionej kabinie za kołem sterowym, wpatrując się w okrągłą skalę jakiegoś instrumentu. Skala poruszyła się powoli, skrzyła na prawo, Wład obrócił koło i skala równie płynnie wróciła do poprzedniego położenia.

– Widzisz? Prowadzi statek przez ocean, przez ciemność, przez fale i burze. Jego ciało jest tutaj. Podróżuje tylko dusza. Chcesz być blisko niego? – I nie czekając na odpowiedź, Dror dwukrotnie dotknął mojego czoła palcem. Jakby touchpada w laptopie.

Poczułem, że się unoszę. Widziałem pod sobą brzeg, plażę, korony drzew, góry. Siebie i Olega, leżących na piasku. W uszach szumiało, świat obrócił się i zapadł mrok.

– Na kursie? – zapytałem Włada. Byłem kapitanem oceanicznego statku i czułem, że tak właśnie powinno być.

– Na kursie, dwadzieścia trzy stopnie! – zameldował Wład wcale nie zdziwiony moim nagłym pojawieniem się.

– Ster w prawo na burtę! Kurs osiemdziesiąt! – miałem pewność, że wszystko jest w porządku, dokładnie osiemdziesiąt.

– Tak jest! Prawo na burtę na kurs osiemdziesiąt! – Koło sterowe obróciło się, skala się poruszyła, wskaźnik zmienił położenie. Zatrzymał się na cyfrze osiemdziesiąt.

Między nami pojawił się Dror, podniósł ręce, dwukrotnie „kliknął” nasze czoła.

Siedzieliśmy w tym samym miejscu – Dror i ja. Oleg podniósł głowę, spojrzał na nas nieprzytomnym wzrokiem. Dror skierował ku niemu dłoń z wyprostowanymi palcami wskazującym i środkowym, i syknął: Tsz-sz-sz-sz! Głowa Olega opadła i nawet zaczął trochę pochrapywać.

– Zdarzyło mi się czytać coś o yeti. Trochę kontrowersyjne. To widziano was w Himalajach, a to na Ałtaju, to pod Archangielskiem, to w Nalibokach... nawet w Andach. I za każdym razem jest inaczej. Sierść czarna, brązowa, w kolorze pieprzu z solą, całkowicie biała... trzy metry wzrostu, dwa..., jeśli to o was, to dlaczego tak różnie? – zapytałem w milczeniu.

– Różnie, ponieważ jesteśmy różni: w młodości czarni, później brązowi, w starszym wieku siwi, a biali to już bardzo starzy.

Podobnie jak wy. Wy też jesteście w różnym kolorze. I różnej wysokości. Dlaczego myślisz, że jesteśmy jak z linii montażowej? – odpowiedział Dror, szepił palce przed sobą, tworząc zamek i zniknął. Jakby go tu nie było...

### 13

Niebieskie słońce świeciło z pełną mocą. W klatce poruszył się Wład, ziewnął, delikatnie obróciły się bloczki i drzewi odsunęły się w bok. Wyszedł, przeciągnął się z zadowoleniem, rozejrzał się:

– Miałem taki sen, że aż! Szkoda było się obudzić.

– Zaraz zgadnę, co to za sen. Sterowałeś wielkim oceanicznym liniowcem? Tak? – powiedziałem z udawaną obojętnością.

– Ta-a-ak! – zaśpiewał zaskoczony Wład, wybaluszając oczy. – Jak zgadłeś?

– Byłem kapitanem tego statku!

– Ale nadajesz! Medium! Naprawdę: byłem sternikiem, a ty dowodziłeś! Skąd wiesz? – Wład był pod wrażeniem.

– Proste – zgadłem i wszystko. – Chlapnąłem pierwsze, co przyszło mi do głowy... Postanowiłem nie mówić o Drorze. – Czy ty marzysz o pracy na morzu? Nigdy nie mówiłeś!

– Nie marzę o niczym, po prostu czytałem jedną książkę ostatnio, więc się przyśniło – ziewnął Wład.

Nasze głosy obudziły Olega. Wstał i zaczął wytrząsać piasek z włosów.

Czas mijał powoli i tęsknie. Poszliśmy do strumienia, umyliśmy się. Zebraliśmy chrust, a ja długo uderzałem kamieniem o kamień, krzesając iskry, próbując rozniecić ogień.





W końcu drewniany chrust-hubka zatlił się i pojawił się słaby dym. Dmuchałem, dmuchałem przez długi czas, ale płomień się nie pokazał, dym zniknął, pozostawiając po sobie tylko przyjemny zapach. Nie miałem już cierpliwości, aby kontynuować próby, zwłaszcza, że Wład i Oleg się zniechęcili, a Wład do tego zaczął się złościć. Uznałem, że ognisko w tej sytuacji nie jest dla nas najważniejsze.

Zatem ruszyliśmy na wędrowkę po lesie i znaleźliśmy wiele jadalnych owoców.

Niektóre przypominały gotowane mięso czy ryby, inne – owoce, choć nieznanne, ale smaczne i pachnące. Głód i pragnienie nam nie zagrażały.

Chłopaki tak się zapamiętali w zdobywaniu żywności, aż miałem wrażenie, że na jakiś czas całkowicie zapomnieli o naszym głównym problemie – powrocie. A ja, czując się winny tej niespodziewanej podróży w nieznanne, wciąż rozmyślałem, jak wrócić.

Innej możliwości, jak przy użyciu klatki, przeskakiwać od jednej rzeczywistości do

drugiej nie mamy – zastanawiałem się. Nocna przygoda z Drorem dawała nadzieję, ale nie gwarantowała, że pojawi się ponownie, a nawet jeśli się pojawi, że będzie chciał, a jeśli zechce, to czy da radę pomóc nam wrócić do swojego świata. Tak... Klatka... Teraz rozumiałem, że jest to portal do przechodzenia z jednego świata do drugiego. Dror potwierdził. Jak ją nazwał? Brama? Tak, brama. Ale dlaczego tylko raz nas przeniosła a teraz nie chce? Nie może być jednorazowa! Dlaczego nie? Może! Może, ale nie chcę o tym nawet myśleć!

Tak sprzeczałem się ze sobą, a od tych myśli i rozterek moją duszę opanowała rozpacz.

Taka sama klatka-brama istnieje w naszej rzeczywistości i w tej, gdzie jesteśmy teraz. Po raz kolejny odtwarzałem jedno i to samo w głowie. Okoliczności są prawie takie same, z wyjątkiem tego, że brakuje teraz odznaki. Brama nie działa. Więc chodzi o odznakę? Jest jak karta SIM w telefonie komórkowym – być może? To znaczy, że musimy znaleźć odznakę. Ale jak? Musimy odszukać tę wielką wronę-srokę. Może wrzuciła odznakę do gniazda. Nasze, ziemskie sroki – słyszałem – często kradną różne jaskrawe, błyszczące rzeczy i zabierają do gniazd.

– Chłopaki! Tak sobie myślałem i oto, co wymyśliłem. Wydaje mi się, że klatka nie działa, ponieważ zniknęła z niej odznaka. Więc musimy znaleźć tę srokę, gniazdo, w którym mieszka, może tam jest znaczek? Trzeba wymyślić sposób, jak znaleźć tego ptaka – zadecydowałem.

– Gdzie będziesz jej szukać? – zaczął swoją zwykłą śpiewkę Wład. – Rozejrzyj się: las

nie do przebycia, góry! To jak igła w stogu, nawet jeszcze trudniejsze!

– Skończ z tym jęczeniem! – krzyknął na Władzie Oleg. – Chcesz tu zostać do końca życia? Jeśli istnieje nawet mała szansa, że odznaka może nam pomóc, musimy ją znaleźć!

– Ale jak! – z nutą rozpaczony zawołał Właddek. – Spójrz na tę dżunglę! Żeby ją przeszukać, trzeba ze stu lat! A tu są jeszcze smoki i dinozaury!

– Jeśli nie możemy przeszukać dżungli, musimy jakoś odszukać srokę, zwabić ją do nas – mruknąłem. Tak ogólnie zgadzałem się z Władem co do możliwości przeszukania takich przestrzeni.

– Powiedzmy, że zwabisz, a nawet złapiesz srokę – roześmiał się Oleg. – Co dalej? Myślisz, że przyczepiła odznakę do szyi i obnosi się przed tutejszymi smokami? Najprawdopodobniej ukryła odznakę w gnieździe, jeśli po prostu w trakcie latania nie wyrzuciła nie wiadomo gdzie... Słuchajcie! A jeśli zwabić srokę, a potem wysledzić – gdzie on polecą? Nawet jeśli gdzieś daleko – i tak zmniejszamy obszar poszukiwań! Tylko jak ją zwabić?

– Położmy w klatce scyzoryk! – zaproponował Wład. – Przywiążemy go, żeby nie ukradła, sami się ukryjemy... Można zakopać się w piasku. Jeśli skusiła się na odznakę, to może i na błyszczący scyzoryk się skusi? Chociaż tutaj błyszcząca jest cała tajga! Czy może dżungla...

– Wyobraźmy sobie, że zwabiliśmy wronę. Chwyliła scyzoryk, szarpnęła, zdała sobie sprawę, że jest przywiązany, rzuciła i odleciała. Czmychnęła do lasu i zniknęła... Ech! Gdyby mieć lornetkę! – powiedział Oleg. – Nie powinniśmy chować się w piasku, ale



wspiąć się na drzewa, na same wierzchołki. Wtedy, gdy poleci do gniazda nad lasem można zauważyć, gdzie jest. Ale jeśli przez las – to na próżno... Tam latają wśród drzew te różne kolorowe... Pojawi się – i nie ma!

– Aha! Na drzewa! – nagle wrzasnął Wład. – A nas ten wąż, anakonda skrzydlata – chap!

– Cóż, kto nie ryzykuje... – roztropnie mruknął Oleg. – Co proponujesz? Nawet jeśli uda się nam oszukać tę srokę-wronę-kruka, może nawet złapać, to jaka gwarancja, że będzie to ta sama. Może jest ich od groma i wszystkie złodziejki! Ale trzeba coś zrobić! Siedząc tutaj niczego nie wysiedzimy. Czas działać! Zaczniemy realizować plan Włada, a później – jak się uda. Może okoliczności podpowiedzą? Ty, Wład, jeśli nie chcesz na drzewo, schowasz się w piasku, ja na drzewie, a ty Todar... dwóch na drzewach nie trzeba, to zbędne.

– Zrobię z klatki pułapkę, kiedy będziecie się maskować – zasugerowałem. – Przywiążę sznur do dźwigni, ukryję się za postumentem od strony morza. Zostawimy otwarte drzwi, może wejdzie do środka, to wtedy ja za przewód... Tak więc jeśli ją złapiemy, będziemy myśleć, co dalej, a jeśli tylko zobaczymy, będziemy mieć oko na to, gdzie poleci. Może doprowadzi nas do gniazda. Tak?

Wszedłem do klatki, zazdrośny w myślach o Włada, jego zapobiegliwość, ostrożnie przywiązałem sznurek, który znaleźliśmy w kieszeni Włada, do dźwigni. Rozwinąłem i koniec sznurka rzuciłem przez pręty klatki. W pobliżu Wład kopał rękami dół, żeby się ukryć.

– Wład! Ciągnij! Sprawdźmy, czy działa.

Wład leniwie pociągnął za sznur, dźwignia opadła, drzwi delikatnie ruszyły, zatrzasnął się zamek. Tropikalny krajobraz poruszył się, zafalował, jakbym patrzył na niego przez gorące powietrze, wszystko się ściemniło i znalazłem się w komórce z brudnym okienkiem. Ciało natychmiast sparzył mróz, byłem tylko w samych majtkach!

## 14

W pierwszym odruchu chciałem rzucić się przez podwórko do domu, niech sobie będzie boso i nago. Gdyby co, można powiedzieć sąsiadom, że hartuję się według programu Iwanowa, biegam bez butów po śniegu. Otworzyłem klatkę, chciałem już dać nogę i zatrzymałem się. Wyobraziłem sobie, jak się czuje Oleg i Wład. Kiedy Wład szarpie sznurek a ja znikam. Po pierwsze, niepokój o mój los. Nie wiedzą, gdzie jestem. Może rozpadłem się na atomy, zniknąłem na zawsze. I strach o siebie – może tak zniknie po kolei każdy z nich! Tak mi się zrobiło żal moich przyjaciół! I wstyd – właśnie byłem gotów ich zdradzić!

Przecież wróciłem do naszej rzeczywistości! Może teraz coś we wszechświecie złożyło się w taki sposób, że portal się otworzył? Być może teraz i tylko teraz jest w stanie przenieść nie tylko mnie, ale także Włada i Olega! I mocno pociągnąłem za dźwignię. Zaskrzyphiały bloczki, drzwi ruszyły...

Nie zdążyłem nawet zamarznąć. Znowu byłem w klatce na plaży z czerwonym piaskiem. Wład spojrzał na mnie przerażony i zdałem sobie sprawę, że moje zniknięcie na kilka minut nie pozostało niezauważone. Oleg wspinał się na najwyższe drzewo na

skraju dżungli i przegapił moje kilkuminutowe zniknięcie.

Plan przekształcenia klatki-bramy-portalu w pułapkę na srokę chwilowo odłożyliśmy. Próbowaliśmy przenieść się w naszą rodzinną rzeczywistość we trójkę, potem po kolei. Tylko ja w parze z Władem mogliśmy to uczynić. Mnie jednego klatka sprawnie przemieszczała tam i z powrotem. Olega czy to w pojedynkę czy w parze ze mną albo ze wszystkimi razem – nie.

Chłopcy popadli w przygnębienie. Przygnębienie to jedno, wpaść w kłopoty we trójkę to drugie, a co innego, gdy tylko jeden okazuje się uprzywilejowany. Poczulem wstyd. Jakby wszyscy zostali zatrzymani przez milicjantów, a przyszła na przykład moja mama i uwolniła mnie jednego. Wstydzilem się, mimo że nie byłem winny. Chociaż nie. Szczerze mówiąc, czułem się winny. Za chęć ucieczki przez ośnieżone podwórko do domu.

Nie wiem, jak długo eksperymentowaliśmy z klatką, naradzaliśmy się, tworzyliśmy kolejne warianty, wypowiadaliśmy sugestie, zanim w końcu zdecydowaliśmy wrócić do pierwszego planu. Złapać albo zwabić srokę. Wład przywiązał scyzoryk miedzianym drutem do klatki. Sprawdziłem czy mocno, chociaż Wład nie był z mojego testu zadowolony. Potem Wład zakopał się w piasku. Nakryłem jego głowę kurtką, a wokół rozrzuciłem nasze ubrania. Oleg wspiał się na drzewo, a ja schowałem się za postumentem ze sznurkiem w dłoniach.

Sytuacja Olega dała powód do zmartwień. Po około godzinie nad lasem pojawiły się smoki. Aż trzy! Jeden był jedno-, drugi

dwu-, a trzeci – trójgłowy! Prawdziwe bajkowe smoki! Krążyły po niebie, wzbijały się wysoko, a potem lotem ślizgowym pikowały w dół, ścigały się jeden z drugim jak samoloty w walce powietrznej. Widowisko zapierało dech w piersiach! Na Olega nie zwracały uwagi, widać nie zauważyły go wśród liści. A ja, zapatrzony na smoki, przegapiłem srokę. Oleg potem żartował: nie trafiłeś sroki.

Obudził mnie szept Włada: ciągnij! ciągnij! Wyjrzałem zza krawędzi kamiennego podwyższenia, ale nic nie widziałem, cokolwiek był za wysoki i mogłem zobaczyć tylko szczyt klatki. A Władek poderwał się z krzykiem i ryknął jak wół: ciągnij, mówię! Szarpnąłem za sznur, ale sroka zdążyła wylecieć z klatki i wzbijała się nad lasem. Gwałtownie poruszając skrzydłami, zniknęła nam z oczu. Pozostała tylko nadzieja, że Oleg zdołał srokę wysledzić.

Spluwając, Wład wydostał się z piasku, i zaczął przeklinać takimi słowami, których, jak mi się wydaje, jeszcze nigdy nie słyszałem. Przeklinał, jak rosyjski bosman! Okazuje się, że sroka przyfrunęła z pobliskiego drzewa, wleciała do klatki, przez chwilę szarpała przywiązany scyzoryk pazurami, a potem kliknęła – i odgryzła drut dziobem. Jak obcęgi! A ja? Spudłowałem. I nie mam nic na usprawiedliwienie...

Oleg z drzewa zdołał wysledzić – poleciała nad lasem w kierunku gór, a tam jakby zanurkowała w jakąś dziurę. Jak daleko, trudno było to ocenić: Oleg nie był całkowicie pewny. A czarna plama na skale? Wejście do jaskini? Zdecydowaliśmy się iść jutro w góry, szukać tej jaskini.



– Dzień dobry – Dror siedział na piasku, obejmując kolana. Widocznie to była jego ulubiona pozycja. – Nie skończyliśmy wczoraj rozmowy. Interesowałeś się nami. Czego jesteś tak naprawdę ciekaw? Miło jest być kimś interesującym!

Oleg i Wład spali na swoich kurtkach. Wład mówił coś przez sen, krzyczał i jęczał.

– Dzień dobry, Dror! Jeśli tę porę można nazwać dniem. Tak, jestem ciekaw. Zniknąłeś tak nagle. Czy mogę zapytać, – kim jesteście, wy, ludzie śniegu?

– Przede wszystkim ludźmi, takimi jak wy. Przy okazji: mamy jednego przodka. Jesteśmy jakby kuzynami. Tylko wy rozwijaliście technologię, a my odkrywaliśmy siebie. Ciało i duszę. Nie chcę krytykować waszej cywilizacji, wasze osiągnięcia są imponujące, zwłaszcza jeśli chodzi o technologię zabijania się nawzajem. – Dror uśmiechnął się powściągliwie. Ale sami w sobie, bez waszych maszyn i urządzeń, jesteście żałosnymi stworzeniami. Zwłaszcza, jeśli chodzi o wolność.

– Żałosnymi? – poczułem się urażony. – Masz na myśli moje nieowłosione ciało? Lub mały wzrost i słabe bicepsy? Co z tego? W zimie zakładamy ciepłe ubrania, a siłę mięśni zastępujemy maszynami. Dzięki wysokiej technologii mamy... na przykład... telefony komórkowe!

– Telefony komórkowe? – Dror znów się uśmiechnął. – Wczoraj zniknąłem, bo mój wnuk znalazł się w trudnej sytuacji. Nawiasem mówiąc, jest w innej, równoległej rzeczywistości. Możesz stąd skontaktować się z rodzicami przez telefon? Nie? A mój wnuk zapisał i od razu usłyszałem... Niektórzy

z was czasami wykazują zdolności, które z naszego punktu widzenia – no cóż, są całkiem mierne, ale nazywacie je pozazmysłowymi i uważacie je za podarowane przez Stwórcę. Wasze maszyny – one już osiągnęły granicę, umożliwiającą zniszczenie waszej rasy. Zatruliście wasz świat, jeszcze nie zdajecie sobie sprawy, że sami się zapędziliście w ślepy zaułek.

– Do rzeczy, użyłeś słowa Stwórcy. Moja Mama wierzy, że wszystko powstało drogą ewolucji, a tata uważa, że wszechświat został stworzony przez Boga. Co ty na to? – spytałem i zaraz pomyślałem, że pytam nie o to. Trzeba pytać, jak wydostać stąd moich przyjaciół.

– Istnienie Stwórcy, i fakt, że wszystko, co istnieje, stworzył On, nie neguje teorii ewolucji. Oto masz przykład: stworzył istotę, z której drogą ewolucji powstałiśmy i my, i wy. My możemy swobodnie poruszać się we wszechświecie, a wam do tego potrzebne są maszyny. – Dror skinął głową w stronę klatki. – A potem swobodnie korzystać z tego mogą tylko wybrani, którzy przypadkowo obdarzeni zostali zdolnościami, podobnie jak wasi telepaci. Reszta do korzystania z tej klatki-bramy potrzebuje hasła – „przepustki wolności”.

– Czekaj, czekaj Dror! – zaczynałem coś rozumieć. Moje mgliste założenia dotyczące odznaki zaczęły układać się w pewną całość. – Czy odznaka w kształcie biało-czerwono-białej flagi, którą porwał czarny duży ptak, podobny do sroki, może być tą „przepustką wolności”?

– Tak. Dlatego brama nie reaguje na próby przeniesienia twoich przyjaciół. – Dror

spojrzał na Olega i Włada. – A te ptaki bardzo szybko ewoluują. Jeśli wasza cywilizacja w końcu się nie obudzi i nie skieruje na drogę łączenia się z naturą zamiast jej rabunkowej eksploatacji, jest całkiem możliwe, że zajmą waszą niszę...

– Aa... – Teraz bardziej interesował mnie nasz los niż losy ludzkości. – Czasami nie wiesz, jak odebrać tej sroce naszą „przepustkę wolności”? Do tego brama przenosi mnie tam i z powrotem. Czy to znaczy, że jestem wybrany?

– Ptaki te żyją w stadach w górach. W jaskiniach. Tam noszą zdobycz. Tam szukajcie. Jeśli chodzi o ciebie, to tak, można cię uznać za wybrańca. Ale nie masz szczególnych powodów do dumy z tego. Twoja cecha szczególna – gen wolności. Można również uznać za wybranych, na przykład, ludzi pokrytych sierścią, u których „wystrelił” gen włochałości... Po prostu ci się poszczęściło. Nie możesz sam z siebie swobodnie poruszać się po wszechświecie, ale z pomocą bramy – jesteś w stanie bezprzepustki. Jesteś jak komputer z wbudowanym modemem, a twoi przyjaciele potrzebują zewnętrznego modemu. – Głos Drora brzmiał dziwnie w mojej głowie, nie mogłem określić jego barwy. Na próżno nazywałem go głosem, to nie był głos, ale słowa i zdania, które pojawiały się w mojej głowie, ale wiedziałem na pewno – należą do Drora.

Tak, więc się nie myliłem – chodzi o odznakę, o „przepustkę wolności”. Możliwość poruszania się za pomocą klatki-bramy. Być może ma jeszcze jakieś własności? Nie, nie będę zawracał głowy sobie i Drorowi zbędnymi pytaniami. Powinienem zapytać o Stwórcę, to takie interesujące!

– Dror, widziałeś Stwórcę?

– W pewnym sensie tak, widziałem. – Dror uśmiechnął się nieznacznie. Jednym kącikiem ust, poruszały się tylko długie zwisające wąsy. – Jeśli uważasz, że Stwórca jest takim dziadkiem z białą brodą, który stoi na chmurze, to masz trochę racji, a trochę się mylisz. Jest tym, za kogo Go uważamy. Jeśli wierzący wyobraża Go sobie jako dziadka i nazywa Bogiem, jest dziadkiem i Bogiem. Jeśli inny wierzący uważa Go za jedną osobę, która jest jednocześnie w trzech osobach i nazywa Go Trójcą Świętą, to tak jest. Ktoś uważa Stwórcę za naturę – i to też jest prawdziwe. Ktoś – za mądrość świata. I też ma rację. Stwórca jest wszystkim, co widzisz wokół siebie i czego nie widzisz. Najmniejsze atomy i ogromne galaktyki są jego częściami składowymi. Ty i ja – my też jesteśmy ziarnkami piasku, z których składa się Stwórca, te drzewa, morze, tamto światło – to wszystko On. Co? Niezrozumiałe?

– Niezbyt – przyznałem się.

– Więc spróbuję to wyjaśnić. – Dror palcem potarł nos. – Stwórca jest jakby superkomputerem, a wszystko inne to różne programy i pliki w tym komputerze. Te programy mogą tworzyć nowe programy – a Stwórca staje się bardziej złożony, ewoluuje. Rozumiesz teraz? Jesteś integralną częścią Stwórcy, jednym z wielu niezależnych programów w nim. Ta skała – Dror wskazał na niebieski cokół pod klatką – jest jak plik w komputerze.

– A mówią, że człowiek został stworzony na Jego obraz i podobieństwo – zacząłem, nie poruszając ustami. Przywykłem już do telepatycznego kontaktu z Dorem.





– Oznacza, że jesteśmy stworzeni, aby Świat wokół stwarzać w swojej kolejności! – Dror z radością spojrział na mnie. – Zaczynasz rozumieć. Ludzie myślą, wymyślają coś, co wcześniej nie istniało. Ktoś wymyślił tę klatkę-bramę, która potrafi połączyć twoją rzeczywistość i tę. Ale ta rzeczywistość mogła przed nim nie istnieć! I wymyślił nową rzeczywistość i sposób, jak się tam dostać. Ktoś wymyślił smoki – i pojawiły się. Ktoś pomyślał, że dinozaury zniknęły w równoległej rzeczywistości – i proszę – masz swoje spotkanie podczas kąpieli!

– Myślę, że rozumiem – zacząłem męczyć się wysiłkiem spowodowanym nadmiarem nowych informacji. – Dobrze Dror, zostawmy tę rozmowę na przyszłość. Powiedz mi jeszcze coś. Czy mógłbyś odebrać odznakę, to znaczy „przepustkę wolności” od sroki? Kiedy sobie wyobrażam... jak przedzieramy się przez las, wspinamy się w góry, szukamy tych ptaków, wędrujemy po ich jaskiniach... czuję się okropnie.

– Nie – zdecydowanie odpowiedział Dror. – Przepustkę do wolności musisz zdobyć sam!

Machnął rozstawionymi palcami przed moją twarzą, w oczach zamigotały rozbłyski, zakręciło mi się w głowie i zapadłem w sen...

## 16

Góry, które wydawały się bardzo blisko za lasem, były o wiele dalej. Cały czas musieliśmy przedzierać się przez zarośla, wspinać się po powalonych grubych pniach, omijać zwaliska drzew. Wkrótce wyrzuciliśmy nasze maczugi i łuk – tylko przeszkadzały. Zostawiliśmy jedynie oszczepy, używaliśmy

ich jako podpory. Oleg przestał żartować, a Wład zaczął narzekać na życie i wyrażać wątpliwość, czy nasza wyprawa zakończy się sukcesem. Mnie też było ciężko i dlatego byłem zły na Włada i na Olega. Nawet nie wiem, z jakiego powodu byłem zły. Zacząłem o tym myśleć i wymyśliłem – jestem zirytowany, ponieważ jest ciężko. A na Włada z Olegiem – ponieważ są pod ręką. Gdyby ktoś inny był w pobliżu – byłbym zły na niego. Te rozmyślenia trochę mnie uspokoiły.

Z rana odpoczywaliśmy mniej więcej co godzinę. Ale im dalej, tym częściej trzeba było się zatrzymywać. Pot zalał oczy, pojawiła się duszność, serce walił, jakby miało wyskoczyć. Wład ze zmęczenia nawet przestał narzekać. Chciało się nam pić – nie wzięliśmy ze sobą wody – nie, nie zakładaliśmy, że wędrowka będzie tak łatwa jak po miejskim chodniku, ale zupełnie nie wyobrażaliśmy sobie, że będzie tak trudno i daleko. Coś ogromnego przeleciało nad drzewami, z zarośli dochodziły groźne dźwięki, podobne do krzyku słonia, jakieś stworzenia przemieszczały się blisko nas, poruszały zaroślami. Ale tak naprawdę nikogo nie widzieliśmy. I nawet bać się nie miałem siły. Z początku zatrzymywaliśmy się i chwytaliśmy za oszczepy, a potem przyzwyczajeni przestaliśmy zwracać uwagę. Wydawało się, że wszystko, co żyje, schodzi nam z drogi.

Oleg wyraził opinię, że zboczyliśmy z kierunku i idziemy równoległe do gór, więc tak długo nie możemy przebić się przez las. Ale przypomniałem mu, że tutejsze światło się nie porusza po niebie jak nasze słońce, a w stosunku do niego idziemy tak, jak zaplanowaliśmy marsz – jest ciągle po prawej.

Więc idziemy prawidłowo, to tylko las jest większy niż sądziliśmy. Wład mnie poparł, a Oleg zgodził się z naszymi argumentami.

W końcu las rozstał się, a przed nami pojawiła się szeroka, skalista dolina porośnięta gęstymi trawiastymi roślinami. Ścieliły się niczym gruby dywan po ziemi, sprężynowały i płątały nogi, spowalniając marsz. Za doliną wznosiły się góry. Z bliska miały nie różowy, ale niebieski kolor. Wokół nas leżały skalne odłamki. Niebieskie, o strukturze podobnej do naszych krzemieni, z ostrymi krawędziami. Znalazłem taki, który wyglądał jak ostrze noża i wziąłem na wszelki wypadek. Niosłem go krótko, a potem wyrzuciłem. Scyzoryk Włada zabrała sroka, ale ten niby-nóż zajmował ręce i przeszkadzał.

Wysoka góra, podobna do wulkanu, z czarną paszczą jaskini pośrodku. W jej pobliżu kołują w powietrzu czarne ptaki. Nawet nie było ich tak wiele. Wyszliśmy z lasu prosto na górę, Oleg prawidłowo określił kierunek. Zmartwienie stanowiła jej wysokość i strome podejście. Poza tym – nie miałem pojęcia, jak będziemy szukać odznaki. Co, jeśli ptaki są agresywne? Nawet nasze ziemskie wrony, sroki lub gaurony dość skutecznie chronią swoje gniazda, pomimo bardzo niewielkich rozmiarów. A te potwory! Przypomniałem sobie, jak łatwo złodziejka przegryzła miedziany drut dziobem i zrobiło mi się zimno. Jeśli zachowują się tak samo, jak nasze ziemskie, nie mamy szans. Aa! Najpierw musimy się tam dostać, a potem zobaczymy!

Ledwo poruszając nogami, wdrapaliśmy się do jaskini i natknęli na małe jezioro, prawie kałużę, do której spływał strumyk. Nie zachowując żadnych środków ostrożności,

napiliśmy się i długo chłodziliśmy się, leżąc w wodzie. Jak dziki, które uciekły przed gończymi psami.

Słońce zaczęło gasnąć. Wydaje się – jak mało czasu tu jesteśmy, a już przyzwyczailiśmy się, że tutejsze słońce nie chowa się za horyzont, ale gaśnie. I do metalicznych barw tutejszej roślinności przyzwyczailiśmy się, do anakond z łapami krokodyli i skórzastymi skrzydłami... Przyzwyczailiśmy się do tego w znaczeniu, że przestały nas dziwić.

Ciężko patrzeć na chłopaków. Pochudli, poczerwieni, podrapani i umęczeni. Pewnie wyglądam tak samo. Nie szukaliśmy żadnego schronienia, oczyściliśmy małą przestrzeń z kamieni i ułożyliśmy się do snu. Zasnęłem natychmiast, nawet głód mi nie przeszkodził. I że spaliśmy na twardych kamieniach wcale nam nie przeszkadzało.

## 17

– Cześć, Todar. – Dror siedział, w ulubiony sposób obejmując kolana, na odłamku skalnym, gubiąc się na tle brązowego nieba, a za jego głową błyszczał upiorny niebieski dysk. Kosmata, dzika głowa z aureolą! To mnie rozweseliło.

– Cześć, Dror! Dobrze cię widzieć. Twój współplemieńcy są religijni? – Głowa Drora na tle aureoli przypomniła mi o ikonach, które wiszą i stoją przy łóżku taty.

– Religijni, ale nie tak jak wy. Nie mamy żadnych rytuałów. Nasza religijność polega na tym, że rozmawiamy ze Stwórcą. A rozmowa z Nim to modlitwa.

– Czekaj! Jeśli my wszyscy i wszystko, co istnieje jest integralną częścią Stwórcy, to jak możecie z Nim rozmawiać? – Nie rozumiem.



Moje ręce i nogi czy komórki mojego ciała nie rozmawiają ze mną! Próbowałem się klócić. Naprawdę nie rozumiałem.

– Dlaczego nie rozmawiają? Rozmawiają! Demonstrują swoje myślenie. Oczywiście – w granicach możliwości. Ty, na przykład, próbujesz opanować program „Solo na klawiaturze”. Kiedy się nauczysz, poczujesz, że twoje palce stały się mądrzejsze, zaczęły żyć własnym życiem. Po prostu myślisz, aby wpisać słowo lub literę, a palce same znajdują odpowiednie klawisze. I czujesz się z tego zadowolony. Więc Stwórca, czując, że my, jego mikroskopijne cegiełki myślimy, rozmawiamy z nim, również będzie zadowolony.

– Dror, dlaczego do mnie przychodzisz? – to pytanie już od dawna dojrzywało we mnie. Dror ze swoimi zdolnościami telepatycznymi wiedział o nim, ale dopóki nie zostało sformułowane „otwartym tekstem” nie uznał za konieczne odpowiedzieć.

– Masz coś przeciwko temu? – Dror przebiegle zerknął z ukosa na mnie i zmrużył lewe oko. Jakby celował. – Stałem się ciężarem?

– Nie możesz nie wiedzieć, co do ciebie czuję – szczerze mówiąc żałowałem, że zapytałem. Cholera go wie, może Dror jest bardzo drażliwy. A ja już się do niego przywiązałem i kiedy znika, nie mogę się doczekać, kiedy po raz kolejny się pojawi. – Jesteś dla mnie bardzo interesujący i sympatyczny!

– A więc... przychodzę, bo i ty mnie interesujesz. Zwłaszcza twój atawizm – urodziłeś się z genem wolności. Być może twoi potomkowie odziedziczą ten twój gen, a ty staniesz się protoplastą nowej odnogi rodzaju ludz-

go – z ciebie urodzą się ci, dla których wartość wolności w różnych jej przejawach, nie tylko wolności poruszania się, przewyższają wartość komfortu biologicznego. Żyjemy wielokrotnie dłużej od was i będę mógł obserwować twoich pra–pra–pra... wnuków. Chociaż możliwe, że gen nie zostanie przekazany... to moja osobista ciekawość.

– Jakoś nie przyszło mi do głowy zapytać o twój wiek, Dror. Ile masz lat?

– Jeśli liczyć w ziemskich latach, to czterysta trzydzieści sześć. Widzisz, zaczynam trochę siwieć. Ogólnie rzecz biorąc, przedstawiciele naszego gatunku żyją coś około tysiąca waszych lat. Wy może moglibyście żyć tyle samo, jeśli byście rozwijali siebie, a nie technikę.

– Dror, potrafisz... na przykład być obecnym, ale tak, żebym cię widział, a Oleg i Wład – nie widzieli?

– To jest tak łatwe, że możliwe nawet dla niektórych waszych... hipnotyzerów. Osiąga się to za pomocą bardzo prostych technik.

– Czy my w porównaniu do was jesteśmy zupełnie marni – narastała we mnie uraza do ludzkości i zazdrość o „śnieżnych”.

– Nie, Todor – Dror westchnął. – Jest jedna rzecz, która jest specyficzna tylko dla was. My... nie mamy sztuki. Gdyby nie nasza religijność, bylibyśmy tylko gadającymi zwierzętami. Wiesz, że ludzi odróżnia od zwierząt religijność i sztuka? I jeszcze – ludzie zawsze zakrywają się poniżej pasa... Zwierzęta nie czują wstydu.

– Do tej pory nie wiedziałem, teraz wiem – roześmiałem się. – Nie zawstydziliśmy ludzkości. Wszystko zdjeliśmy, prócz majtek! Ale najbardziej interesują mnie twoje umie-

jętności. Jak wtedy, gdy pokazałeś mi sen Włada. Pokaż mi jeszcze coś takiego!

– Chcesz, żebym nauczył cię przemieszczania się w przestrzeni? Nie w całości – tylko twoją duchową substancją. Chcesz? Zatem połóż się na plecach, rozluźnij się, zamknij oczy. Wyobraź sobie, że z nieba zwisa lina. Teraz wyobraź sobie, że jesteś całkiem lekki. Jak piórko! Chwytasz za linę i powoli podciągasz się. Ciało pozostaje poziome. Jesteś jak gimnastyk, ale trzymanie ciała poziomo na linie jest dla ciebie bardzo łatwe. Podciągasz się, przesuwasz rękami po linie. Wspinasz się coraz wyżej!

Stosowałem się do wskazówek Drora i naprawdę czułem się bardzo lekki i mocny. Tak, że bez trudu udało mi się utrzymać ciało na linie poziomo. Wspiąłem się aż do nieba. Jakoś zupełnie niepostrzeżenie lina zniknęła, rozplynęła się, a ja zostałem zawieszony między niebem a górami. Spojrzałem w dół i zobaczyłem trzy ciała wśród kamieni. Olega, Włada i siebie. Wiedziałem, że to ja tam leżę, ale nie czułem tego. Byłem czymś, co jest nieważkie, jak balon, wiszącym, nie – leżącym w powietrzu. A tam w dole byłem jak wierzchnia odzież. Znajoma, do jakiej się przywiązałem, ale tylko wierzchnia odzież.

Dror pojawił się obok mnie i wziął mnie za rękę. I szybko wzbiliśmy się nad górą, podobną do wulkanu, tą z dziurą-jaskinią. Zwiesiliśmy się nad nią i zanurkowaliśmy w czarną przepaść.

Tuż za wejściem znajdowała się ogromna sala oświetlona słabym światłem płynącym skądś z wysokiego sklepienia. Pośrodku sali znajdowało się okrągłe jezioro, wpadał do niego potok spływający kamienną rynną.

Rozejrzałem się – strumień wypływał spod skały w odległym kącie jaskini. Jej ściany były prawie pionowe, z licznymi półkami. Na półkach – gniazda ze splecionych gałęzi, podobne do gniazd bocianów, pokryte od wewnątrz srebrzystymi liśćmi i czarnym puchem. Wszędzie z gniazd widoczne były głowy i ogony srok. Panował ogromny harmider, podobny do odgłosów orkiestry, która stroi instrumenty. Gniazd było wiele, może kilkaset. Jeśli odznaka jest gdzieś w gnieździe, trudno będzie ją znaleźć. I niebezpiecznie: trzeba wspiąć się po ścianie skalnej i ją wytropić. Trzeba przeszukać i znaleźć właściwe gniazdo teraz, dopóki jestem nieważki! Ale jak zgonić sroki z gniazd?

Dror usłyszał moje rozmyślenia, spojrzał z aprobatą i wzbił się pod sklepienie jaskini. Sprawdzał tam kilka skalnych występów, znalazł odpowiedni, poluzował i wyrwał odłamek. Rzucił w dół. Odłamek skały z pluskiem wpadł do jeziora. Jego powierzchnia się wzburzyła, a z wody wynurzył się masywny szarozielony tułów, z którego wyrastało może dziesięć, może więcej węży. Jak na głowie Meduzy-Gorgony. Węże wiły się i rozdziewiały paszcze. Sroki z ogłuszającym sz-sz-u-u-ch-ch poderwały się z gniazd i w popłochu wzniosły się w powietrze. Węże z energią zaczęły rzucać się w różnych kierunkach, starając się złapać latające sroki. Chwilę później ruchoma, czarna chmura srok z krakaniem opuściła jaskinię. Potwór jeszcze moment poruszał głowami węży i się zanurzył.

– Szukaj! – rozkazał Dror. – Lada moment wróć!

Uniosłem się i zacząłem sprawdzać gniazda, zaczynając od górnych półek, starając się



nie przegapić żadnego. W większości gniazd znajdowały się po dwa lub trzy zielone, matowe jaja w złociste plamy. Duże, większe od gęsinych, na oko ze cztery razy! I dopiero gdzieś w trzydziestym zobaczyłem szczyryk, a obok – moją odznakę wciśniętą w czarny filc na brzegu gniazda. Skradzione nam rzeczy dobrze wyróżniały się na tle czerni. Próbowałem nawet je chwycić, ale na próżno – moje ręce przechodziły przez nie, nie podejmując niczego.

Oh! Tak można przechodzić przez ściany! – pomyślałem i zwróciłem się do Drora: – Drorze mój miły, czy możesz wziąć te przedmioty w ręce. Zabierz odznakę! – Ale ten tylko pokręcił głową – Nie! Sam!

Sroki zaczęły wracać i sadować się na gniazdach. Zapamiętałem gniazdo z odznaką – trzeci poziom od góry, tuż nad wejściem do jaskini. Pod gniazdem niebieska skała ma białą żyłkę. Dror znów złapał mnie za rękę, podskoczyliśmy i wylecieliśmy przez jeden z mniejszych otworów. Widocznie służyły tu jako okna i otwory wentylacyjne. Zaczęliśmy pikować w dół, gdzie na kamiennym podłożu u podnóża góry spoczywały nasze ciała: Olega, Włada i moje. Chwila – i nie jestem już w powietrzu. Leżę na skale i bardzo chcę mi się spać.

## 18

Droga pod górę zajęła cały następny dzień. Wspinaliśmy się granią skalną po zboczu góry, gramoliliśmy się po ogromnych odłamkach skał, przeskakiwaliśmy szczeliny. Jedno z pęknięć było tak głębokie i szerokie, że przeskoczenie przez nie wydawało nam się niebezpieczne – a jeśli nie przeskoczymy

i spadniemy. Wład zasugerował, aby faszyną związać nasze oszczepy i wykorzystać je jako pośrednie miejsce odbicia w czasie skoku. Tak zrobiliśmy. Zwiążaliśmy nasze oszczepy faszyną w wiązkę i przerzuciliśmy przez szczelinę. Pierwszy skakałem ja. Rozpedziłem się, skoczyłem, nie dolatując do krawędzi odepchnąłem się jedną nogą od oszczepów, ugięły się, ale wytrzymały i znalazłem się po drugiej stronie rozpadliny. Taki „podwójny” skok. Drugi skakał Oleg. Ten z głupim okrzykiem: dlaczego nie jestem sokołem, dlaczego nie latam! skoczył, odepchnął się od wiązki, przeleciał. Wład wahał się przez długi czas, zbliżał się do skraju, spoglądał w dół, brał rozbieg i hamował pewnie ze cztery razy. Potem skoczył. Niefortunnie nie trafił nogą na związane oszczepy, ale podczas upadku udało mu się chwycić rękami krawędzi skalnego pęknięcia. Chyba na zawsze zapamiętam jego oczy. Nie było w nich strachu, tylko błaganie o ratunek. Rzuciłem się i złapałem go za nadgarstek. Próbowałem pociągnąć. To okazało się ponad moje siły. Z boku podczołgał się Oleg, nie wiem, co tam robił. Nie zastanawiając się nad sobą, w myślach krzychałem: Dror! I Dror ukazał się natychmiast. Pojawił się, pochylając się nade mną, chwycił Włada za rękę, którą trzymałem, bezskutecznie próbując wyciągnąć ze szczeliny jego tłuste ciało, i bez żadnego wysiłku, jak kotka za łapkę, podciągnął go na kamienną krawędź. Ponad mną. Nie zdołałem puścić ręki Włada, bo złapał mnie jakiś skurcz, upadłem na plecy. Wciąż ścisnąłem jego nadgarstek. A Dror zniknął natychmiast.

– Niczego sobie! – powiedział Oleg. –

Chciałem ci pomóc, a ty przerzuciłeś naszego prosiaczka przez siebie... jedną ręką! Gdybym tego nie widział, nigdy bym nie uwierzył.

Było oczywiście, że Dror był widoczny tylko dla mnie, ani Oleg, ani Wład go nie spostrzegli, więc wydawało im się, że Włada wiszącego nad przepaścią wyciągnąłem ja. Co miałem teraz zrobić? Czy pozostać w oczach przyjaciół Supermanem, czy opowiedzieć o Drorze? Nie uwierzą! Ale dlaczego nie? Takie przygody – trudno tu w cokolwiek uwierzyć!

Udało mi się już puścić rękę Włada: cicho płakał, ukrywając twarz w dłoniach. Pewnie ze strachu. Szczerze mówiąc, mnie też chciało się płakać, a w miejscu serca poruszyła się ogromna bryła.

– Chłopaki! – zacząłem, gdy Wład przestał płakać, a kamyk w mojej piersi zmieknął i zniknął. – To nie ja wyciągnąłem, to Dror. Czy słyszeliście o leśnych ludziach śniegu yeti? Więc tak! Poznałem tutaj prawdziwego leśnego człowieka.

I krótko, bez szczegółów, opowiedziałem przyjaciołom o moich trzech spotkaniach z Drorem. Słuchali z otwartymi ustami. A kiedy dowiedzieli się, że moje przypuszczenia dotyczące odznaki są nie tylko domysłem, ale odpowiadają rzeczywistości, nabrali otuchy. Zwłaszcza Wład. Przekonanie, że wszystko robimy, jak trzeba, dodało nam siły. Nie jedliśmy od wczoraj rano, nie piliśmy od wieczora i byliśmy bardzo zmęczeni. Jednak pod koniec drugiego dnia naszej wyprawy w góry staliśmy już przy wejściu do jaskini srok.

Wszystko wyglądało tak, jak poprzedniej nocy, kiedy byliśmy tutaj z Drorem. Tak samo padało miękkie, przyćmione światło, tak samo krzyczały sroki. Kakofonia trzystu skrzypiec, wiolonczeli, kontrabasów. Ptaki nas nie zauważyły lub nie zwróciły na nas uwagi. Naznosiliśmy cały stos kamieni nad jezioro, opowiedziałem chłopakom o potworze z węzowymi szyjami, potem odszukałem gniazdo nad wejściem, gdzie leżała skradzioną odznaką i szczyryk, i zacząłem się wspinać. Ściany jaskini były pionowe i dopiero po ostatniej kondygnacji zmieniały nachylenie, tworząc sklepienie. Chwytałem palcami za wypukłości i pęknięcia, Szukałem oparcia dla stóp i powoli się wspinałem.

Kiedy dotarłem do pierwszego poziomu, na którym były gniazda, ptaki stały się czujne, głośne, zaczęły obracać głowami, niektóre wstały. Wtedy Oleg i Wład zaczęli rzucać kamieniami do wody. Dwa pierwsze uderzenia spowodowały wynurzenie się Gorgony, a jaskinia na chwilę opustoszała. Chłopcy schowali się za kamieniami, ja nie miałem się gdzie ukryć, po prostu zamarłem. Poprzednim razem wydawało mi się, że głowy Gorgony reagują na ruch. I tak rzeczywiście było. Nie ruszałem się, szyje węży krążyły w powietrzu, a potem potwór zanurzył się. Wspiąłem się wyżej. Może z dziesięć razy musieliśmy wyganiać sroki, zanim dotarłem do tego gniazda. Nóż rzuciłem chłopakom, a jeśli chodzi o odznakę bałem się – żeby przypadkiem nie wpała w szczelinę między kamieniami, albo nie odbiła się i nie zatoneła w jeziorze. To był jedyny sposób na powrót do naszej rzeczywistości dla



Włada i Olega! Byłem tak podekscytowany, kiedy ją wziąłem, że ręce mi zadrżały. Żeby jej nie zgubić, najpierw nawet chciałem ją połknąć, ale w końcu przypiąłem do majtek i zawinałem pod gumką.

Droga w dół okazała się znacznie trudniejsza. Kiedy wspinałem się, nie widziałem, z jakiej wysokości przyjdzie mi spadać w razie czego, dlatego nie było aż tak strasznie. Ponadto wszystkie występy, szczeliny, półki, których można było się chwycić były przed oczami, blisko. I kiedy próbowałem zejść – wsparcie dla nóg było daleko od oczu, musiałem spoglądać w dół, a to nie dodawało mi odwagi. Boję się wysokości. Nawet jeśli wyglądam przez okno z mojego czwartego piętra, to czuję mrowienie w opuszkach palców. Próbuję przezwyciężyć ten strach, wspinając się wszędzie, gdzie mogę, ale na próżno. A co z ludźmi, którzy muszą pracować na wysokości? Zazdroszczę im!

Jakie małe to jeziorko z góry! Gdyby nie Gorgona, mógłbym tam wskoczyć. Lepsze kilka chwil panicznego przerażenia niż długie minuty lepkiego, gęstego strachu. To prawda, że z półki na ścianie jaskini można nie doskoczyć do wody, ale spaść na brzeg z ostrymi odłamkami kamieni. Tłumiłem strach myślami o potworze, szansach na przeżycie i schodziłem. Schodziłem może cztery razy dłużej niż się wspinałem. Zszedłem zupełnie wyczerpany, z drżącymi miękkimi nogami:

– Wszystko, chłopaki. Oto jest przepustka wolności! Z nią klatka-brama przepuści nas do domu.

Wład z przyzwyczajenia coś burknął o wątpliwościach, ale Oleg syknął na niego, więc zamilkł.

Do jaskini zaczęły wracać ptaki. Poczekaliśmy, aż zajmą miejsca w gniazdach i wyszliśmy na zewnątrz, na płytę przed wejściem. Pod nami na bezkresnej przestrzeni rozłożyła się dolina, za nią las, a za nim – wstęga morza. Zmierzchało, tutejsze słońce stopniowo gasło, zmieniając się w brązowy dysk. Zeszliśmy poniżej jaskini, znaleźliśmy przytulne miejsce wśród klifów i zasnęliśmy.

## 20

Dror siedział odwrócony. Widziałem tylko jego szerokie, potężne plecy porośnięte grubą sierścią. Wyciągnąłem rękę i pomacałem futro palcami. Było elastyczne i miękkie, jak u północnych psów. Od dotyku Dror wzdrygnął się i zamarł.

– Jesteś taki miękki – powiedziałem teledyktownie. Żeby cokolwiek powiedzieć.

– Gęste futro – potwierdził Dror. – Gęstsze niż waszej wydry morskiej. Mogę spać na śniegu, a on nawet nie topi się pode mną, mimo tego, że nasza normalna temperatura – plus trzydzieści dziewięć stopni Celsjusza. I nie mam potrzeby zdzierać z nikogo futra ani rabować gniazd kaczki edredonowej, zabierając jej puch.

– Teraz mamy sztuczne materiały, które nie są gorsze od zwierzęcego futra i naturalnego puchu! – próbowałem bronić naszej cywilizacji.

– Tak, tak! – nie widziałem jego twarzy, ale wydawało mi się, że się uśmiecha. Wtedy przypomniałem sobie, że Dror uratował Włada i zmieniłem temat.

– Dziękuję za Włada. Chwyciłem go za rękę, ale od razu poczułem, że nie wyciągnę. Więc zwróciłem się do ciebie.

– Bardzo słuszna decyzja. – Dror odwrócił się do mnie i zobaczyłem, że naprawdę się uśmiecha. – Ależ głośno krzyczałeś! Było cię słychać w kilku równoległych światach! Cieszę się, że usłyszałem, że mogłem pomóc. Widzę, że odzyskałeś przepustkę wolności. – wskazał na moje majtki. Gumka we śnie się rozkręciła i odznaka połyskiwała w widmowym niebieskim świetle tutejszego słońca. – Nie strać jej po raz drugi. Wiesz co? Skoro już masz przepustkę, pomogę ci dotrzeć do klatki-bramy. Bo kiedy zgubisz w lesie...!

Dror z łatwością, jakby to były niemowlęta, podniósł z ziemi Olega i Włada, przycisnął ich do swojej piersi. Nawet się nie ruszyli, tylko Wład westchnął. Skinieniem głową zaprosił mnie na ramiona. Wspiąłem się i poczułem się niby na ramionach taty. Siedziałem na plecach taty i trzymałem się jego czoła. Ziemia pod stopami wydawała się odległa.

Dror wstał i rzucił się z góry w przepaść. Świat zakręcił się wokół nas, a Dror ułożył Olega i Włada na piasku. Sam ześlizgnąłem się po śliskim, miękkim futrze.

– Żegnaj! – Oczy Drora były łagodne jak u jelenia. – Widzę, że tęsknisz. Nie smuć się. Jeszcze się zobaczymy. Obiecuję!

I znikł. Jak duch.

Przyniosłem nasze ubrania z klatki, a potem obudziłem przyjaciół. Zabaawne było patrzeć, jak się rozglądają zaskoczeni.

– Ubieramy się. Zaraz wracamy – powiedziałem. – U nas w domu jest zimno.

## 21

Przebiegliśmy przez ciemne, ośnieżone podwórko, prześlizgnęliśmy się przez drzwi wejściowe. Chciałem potajemnie, po cichu przemknąć do mojego pokoju, żeby zorientować się, jaką mamy datę, ale mieszkanie przywitało mnie gwarem głosów. Było pełne ludzi.

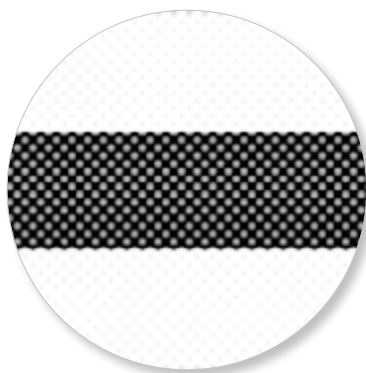
Z kuchni wyszła zarumieniona, wesoła mama z tacą w rękach.

– Todarku! Gdzie byłeś? Tata został zwolniony. Wokół komisariatu zebrało się około tysiąca ludzi i z komitetu przyszedł rozkaz zwolnienia. Rozbieraj się i złóż tacie gratulacje.

Był wieczór tego samego dnia, kiedy weszliśmy do klatki-bramy, czas u nas upływa wolniej niż w kraju o błękitnym słońcu.

Zrzuciłem kurtkę. Na swetrze błyszcząca biało-czerwonobiała odznaka. Przepustka wolności. ●

*przekład  
Wojciech Pestka*







Paweł Lachnowicz

# Białoruś: literatura dla dzieci i młodzieży

W JEDNYM ZE SWOICH WIERSZY popularny w Polsce a znany na całym świecie rosyjski poeta Władimir Wysocki, którego korzenie wywodzą się z Białorusi, napisał o uczciwym, godnym człowieku – widocznie jako dziecko czytał dobre książki.

Jaki będzie dzisiejszy mały człowiek, kiedy stanie się dorosły, jakie będą jego cele życiowe, moralność, światopogląd, inteligencja, fantazja, kreatywność, miłość do ludzi i Ojczyzny, a także wiele innych cech, zależy – oprócz innych czynników – od przeczytanych w dzieciństwie książek.

A dzisiaj, w czasach eksplozji technologicznej i informacyjnej, kiedy żywa, papierowa książka jest często zastępowana elektronicznym obrazem na ekranie telewizora, na wyświetlaczu smartfona, dzieci przestają czytać, ponieważ jest to praca, jest to trudne. Ale nic nie może zastąpić małemu człowiekowi książki.

Smutny to fakt, ale na Białorusi jest wiele osiedli, w których nie ma nawet małej księgarni. Dzieci chętniej biorą w ręce nie książkę, ale elektroniczny gadżet. Z tego powodu, a może z powodu wysokich kosztów książek papierowych, zmniejsza się na nie zapotrzebowanie.

Jednak według informacji Białoruskiego Państwowego Wydawnictwa „Mastackaja litaratura” książki dla dzieci zajmują znaczące miejsce, o czym świadczy fakt, że nakłady książek dla dzieci przewyższają nakłady dla dorosłych. We wspomnianym wydawnictwie ukazują się serie książek dla przedszkolaków – „Dla naszych dzieci”, dla młodszych uczniów – „Żywa klasyka dla dzieci”, „Żurawinka”, „Lubię czytać”, dla młodszych i średnich klas – „Nasze symbole”, dla średnich i starszych – „Lektury nadobowiązkowe”, „Białoruska bajka autorska”, „12 miesięcy”, „Biblioteka przygód i fantastyki”.



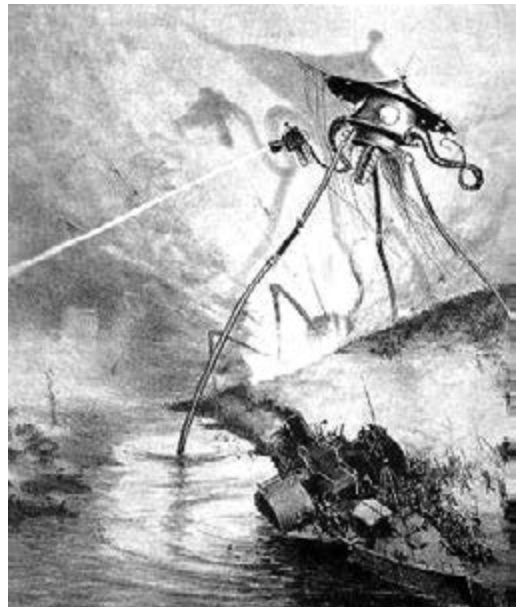
Ilustracja do białoruskiego wydania „Podróży Guliwera”  
Jonathana Swifta  
«Падарожжы Гулівера» — фантастычная сатыра XVIII ст.

Szczególną rolę w twórczości dedykowanej młodemu czytelnikowi odgrywa literatura fantasy, będąca swoistym sprzeciwem wobec literatury realizmu. Cechuje ją akceptacja cudowności uważanej w realizmie za nierzeczywistą, obiektywnie fałszywą, będącą wynikiem sprzeciwu wobec świata realnego i panujących w nim praw narzucanych przez polityczne partie sprawujące władzę. Baśniowo-fantastyczny świat daje możliwość ucieczki z pozbawionego wartości i zasad współczesnego świata konsumpcji i wyżytku, do świata nadprzyrodzonego wiążącego człowieka ze światem wartości uniwersalnych, metafizycznych poszukiwań sprawiedliwości i irracjonalnej tajemnicy bytu.

Dziś na Białorusi pisze dla dzieci wielu autorów, pozwolę sobie wymienić tylko kilku: Oksana Spynzczan, Jarosz Maliszeuski, Alena Masła, Piatio Waśuczenka, Serż Minskiewicz, Halina Pszonik, Wiktor Hardziej, Jarasław Żukowicz, Ludmiła Rubleuskaja, Aleś Badak, Uładzimir Mazgo, Uładzimir Lipski, Raisa Barawikowa, Alaksiej Jakimowicz, Anatol Zekau, Mikoła Czarniauski, Mikoła Malauka, Aleg Minkin, Andrej Drańko-Majśuk, Walery Hapiejew, Mikoła Kandraćjeu... Co zaskakujące – utwory dla dzieci pisze nawet minister informacji Białorusi Alaksandr Karlukiewicz.

Wszystko to zadaje się świadczyć, że literatura dziecięca i młodzieżowa na Białorusi, mimo swej odrębności i specyfiki, rozszerza zasięg swojego oddziaływania i wpisuje się w krąg literatury, którą zainteresowane są poważne wydawnictwa literackie. ●

«Вайна светаў» Герберта Уэлса — класіка навуковай фантастыкі. (Wojna Światów Herberta G. Wellsa)



Zbigniew  
Włodzimierz  
Fronczek

## Legenda o herbie Lublina



OD WIEKÓW PANOWAŁO powszechne przekonanie, że Lublin posiada jeden z najśmieszniejszych herbów. Na tarczach herbowych miast umieszczano wizerunki lwów, orłów, rumaków. Czasami malowano rączego jelenia bądź okazałego niedźwiedzia lub tura, bardzo często przedstawiano wizerunki świętych Pańskich. A w lubelskim herbie pojawiła się koza. Bywało, że na niektórych wizerunkach czy pieczęciach przypominała kozła, czy też lub – jak chcieli inni – capa. Przezywano więc Lublin Capim Gajem.

Lublin prawa miejskie uzyskał w 1317 roku od księcia Władysława Łokietka, książę obdarzył też lublinian herbem! Mógł Łokietek dać w herbie Lublinowi świętego Michała, który do zwycięstwa nad Jadrzyngami poprowadził księcia Leszka Czarnego, jego przy-

rodniego brata, dał jednak kozę. Kozą – tu należy odwołać się do starych legend – zawsze budziła śmiech, była wedle ludowych filozofów dziełem diabła! Ale lubelska koza – jak głosi kolejna legenda – w czechowskich wąwozach wykarmiła grupkę dzieciaków ocalałych z rzezi jaką Lublinowi zgotowali Tatarzy w czasie jednego ze swych najazdów. W tej opowieści pobrzmiewa motyw jeszcze starszej, bo rzymskiej legendy! Romulus i Remus, przyszli twórcy Rzymu, uratowani zostali od śmierci głodowej przez wilczyce. Łokietek znał zapewne i tę opowieść. Jako pierwszy porównał początki Lublina z historią Rzymu!

Dał Lublinowi w herbie kozę.

Koza nie przypadła do gustu lubliniakom. Zamienili ją na kozła. Koziołek widnieje więc w herbie Lublina. ●



**PAWEŁ ARKADIEWICZ LACHNOWICZ** – literat, tłumacz, białoruski działacz społeczny, członek Związku Białoruskich Pisarzy.

Urodził się 25 października 1954 roku. Ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Marynarki Wojennej im. Kirowa (1972–1977, specjalność: nawigator okrętów podwodnych), służbę wojskową pełnił na podwodnych okrętach atomowych Floty Północnej.

Pisze w języku białoruskim. Autor esejów, opowiadań i powieści drukowanych w czasopiśmie: „Dziejaslou”, „Wierasień”, „Abażur” (Białoruś), „Termopile” (Polska), pismach literackich: „Literacka Białoruś” (ZBP), „Krasnyj Siewer” (Jamalsko-Nieniecki Okręg Autonomiczny, Rosja), almanachu „żyrandola” (Oddział ZBP w Brześciu).

Autor zbioru opowiadań *Początek sezonu* (Pińsk 1998), książek dla dzieci i młodzieży *Złota kniaziowny* (Mińsk 2008), *Zialony dub* (Mińsk 2012), *Ihnaśczaradziej* (Mińsk 2014), współautor książki *Zornaja kasia* (Mińsk 2014).

Laureat Nagrody Literackiej „Literatura–Dzieciom” (2009); Literackiej Nagrody „Miodowej” Brzeskiego Oddziału ZBP (2015), Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Józefa Łobodowskiego (Polska, 2017)

Tłumacz, uczestnik warsztatów tłumaczy, uczestnik Szkoły Letniej Języka i Kultury Polskiej „POLONIKUM” (Uniwersytet Przyrodniczo Humanistyczny w Siedlcach, 2016).

Autor między innymi przekładów z języka białoruskiego na rosyjski serii przygodowych książek dla młodzieży Ludmiły Rublewskiej: *Awantiury Prantisza Wyrwicza, szkolara i szpika* (Moskwa 2017), *Awantiury studiozusa Wyrwicza* (Moskwa 2019), *Awantiury drahuna Prantisza Wyrwicza* (Moskwa 2019), *Awantiury Prantisza Wyrwicza, izmiennika i konfiedierata* (Moskwa 2019).

Autor przekładów z języka polskiego na białoruski w tym między innymi:

- Walter Ciszek: *Z Bogiem w Rosji* (Brześć 2003),
- Zbigniew Włodzimierz Fronczek: *Anioły, diabły i kobiety* (Brześć 2017),
- przekładów ponad 80 opowiadań i reportaży publikowanych lub oczekujących na publikację w gazecie ZBP „Literacka Białoruś” 2011–2019 roku



**Ляхновіч Павел Аркадзьевіч**

Пі́нск

